

N^o 01209

Aleksander Hirschberg

GRECYA
WRAŻENIA Z PODRÓŻY

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
„ŚWIT”
KRAKÓW - UL. WIELOPOLE 32

LWÓW
JAKUBOWSKI & ZADUROWICZ
1895

K 109

409800

1

K 76/1231
3.2. 301-



№ 01209

G R E C Y A

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK

„ŚWIT”

KRAKÓW - UL. WIELOPOLE 32

1.

A t e n y.

(*Ogólne wrażenie miasta. — Instytucye publiczne. — Położenie finansowe królestwa greckiego. — Ogólna charakterystyka pomników ateńskich. — Partenon. — Erechteion. — Propilee. — Teatr Dioniza. — Odeon Heroda. — Świątynia Tezeusza. — Faleron. — Uprzejmość Greków. — Inne cechy charakterystyczne.*)

— Widocznie nie obawiasz się pan gorąca i kurzu — zawołał jeden z moich towarzyszków podróży, dowiedziawszy się, że jadę do Aten.

— Istotnie, nieźle znoszę upały — odparłem, a co do kurzu, pomyślałem sobie, że prześwietły magistrat królewskiego stołecznego miasta Lwowa wybornie mię pod tym względem zahartował.

Dzięki też tej pieczołowitości naszych władz miejskich, osławiony kurz ateński wcale nie wydał mi się tak wielkim (nawiasem wspomnę, że nie można go nawet porównać z naszym), a Ateny od razu nadzwyczaj potężne i miłe sprawiły wrażenie.

Jest to miasto, liczące obecnie przeszło sto tysięcy mieszkańców, zbudowane dość regularnie i ożywione. Szerokie, prosto biegnące bulwary, szeregi wielkich gmachów lub budowli, odznaczających się czystością stylu i wytworną lekkością, wspaniałe hotele, liczne i tanie komunikacje — nadają mu wybitne piętno stolicy europejskiej. Jeżeli nadto dodamy, że nad tem wszystkim unosi się cudowna akropolis z Partenonem i Propileami, że od wschodu niemniej malowniczo rysuje się wysmukły Likabetus z kapliczką św. Jerzego, to zdaje mi się, że każdy przyzna z łatwością, iż Ateny nawet dla umysłów bardzo chłodnych muszą posiadać pewien powab niezwykły, jakiś urok tajemniczy, którego doznajemy na widok pomników wielkiej przeszłości. Wrażenie to potęguje się szczególnie w południowej części miasta, w której dość wiele zachowało się zabytków starożytności, jako też kilka niskich, małych cerkiewek z czasów bizantyńskich, kiedy to potężne niegdyś ognisko życia umysłowego prawie całkiem wygasło, a nawet wśród długiej i strasznej nocy

średniowiecznej niemal w zupełnem utonęło zapomnieniu.

Przypatrując się pięknym budowlom ateńskim, przypominamy sobie mimowolnie Budapest, wielką stolicę małego królestwa. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się bowiem, że Grecy, podobnie jak Madiarzy, z rozmysłu i sztucznie starają się nadać Atenom rozmiary wielkiego miasta, potężnego ogniska cywilizacji nowoczesnej, że czynią to w celach politycznych i ekonomicznych, a nie szczedząc ku temu nakładów, tą wystawną okazałością stolicy w znacznej części sprowadzili swe dzisiejsze, nad wszelki wyraz smutne położenie finansowe.

Przy bliższem jednak poznaniu stosunków tamtejszych, rzecz ta przedstawia się zupełnie inaczej. Wszystkie te bowiem wspaniałe gmachy i wielkie instytucje ateńskie nie powstały z funduszków skarbu państwowego, lecz albo ze składek publicznych, albo też kosztem znakomitych patryotów, którzy przez całe życie ciężką pracą dobijali się fortuny, aby w końcu oddać ją na usługi ojczyzny. I tak uniwersytet, liczący 107 profesorów, a przeszło 2600 uczniów, który posiada piękną bibliotekę i muzea, utworzono z funduszków, złożonych przez Greków, zamieszkałych tak w Grecyi, jak w Turcyi, Egipcie i Indjach. Wspaniałały gmach akademii umiejętności wybudował baron Sina, mieszkający w Wie-

dniu, szkołę politechniczną dwaj bogaci Grecy z Epiru, licea, jak Arsakion, Varvakion, i Rhizarion, trzech wspaniałomyślni fundatorowie, od których instytucje te otrzymały swoje nazwiska. Słynny Konstanty Zappas, brat stryjeczny niedawno w Rumunii zgasłego znakomitego patrioty, wznosił wielki gmach na peryodycznie powtarzające się wystawy. Ofiarności publicznej zawdzięczają swe istnienie także muzeum narodowe, obserwatorium astronomiczne i t. d.

Nie lepiej nie charakteryzuje tych prawdziwych „dobroczyńców“ — jak ich lud grecki nazywa — jak następująca rozmowa pomiędzy Konstantym Zappasem, a bratem jego stryjcznym Ewangelisem.

Obydwaj wcale się nie pożenili. Z tego powodu rzekł pewnego razu ten ostatni do Konstantego:

— Bracie! Czas już, żebyś sobie wybrał małżonkę i żebyś wypoczął po pracy długoletniej. Dość już mamy pieniędzy. Należy nam więc założyć rodzinę, aby utrwalić nasze nazwisko.

— Ależ i ty — odparł zagadniony — nigdy nie pomyślałeś o ożenieniu. Ojczyzna jest twoją kochanką. Pozwól i mnie pójść za twoim przykładem; przez całe życie będę pracował i zbierał, abym jak najwięcej mógł zdziałać dla naszego narodu

Jakże piękny przykład dają Grecy narodom, dobijającym się wolności! Jakże podniosłego wrażenia doznajemy na widok tych instytucyj, których twórcy, chociaż przeważnie zrodzeni i żyjący zdala od ojczyzny, nie tylko nie zatracili swej narodowości, ale nadto tak wymowne złożyli dowody gorącego przywiązania do swych ideałów narodowych!

Szybki rozwój Aten nie spowodował więc od niejakiego czasu już trwającej, a nader przykrej sytuacji finansowej królestwa greckiego. Sprowadziły ją obecne stosunki i urządzenia publiczne, które również dla nas bardzo cenną zawierają naukę.

Od r. 1864 posiada Grecya jedną z najbardziej liberalnych konstytucyj w Europie, które zbawienne skutki prowadzą tylko dla narodów, posiadających wysoką cywilizację i na długoletniem doświadczeniu opartą znajomość życia publicznego.

Każdy Grek, który ukończył rok 21., jest obywatelem-wyborcą. Władzę wykonawczą sprawuje odpowiedzialne w obec sejmu ministerstwo, a prawodawczą izba poselska, składająca się z 155 członków, wybieranych w wyborach bezpośrednich. Władzy tej nie ogranicza ani veto królewskie, ani też izba wyższa, zniesiona po ostatniej rewolucyi. Każdy obywatel, liczący 30 lat życia, może być wybrany posłem. Prócz tego

poręcza konstytucya zupełną wolność osobistą, bezpłatną naukę w szkołach ludowych, średnich i wyższych, wreszcie niczem nie krępowaną wolność prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń.

Są to rzeczy niewątpliwie bardzo piękne, ale dla narodu młodego, bez tradycyj politycznych i wyższej oświaty, nie zawsze obfitujące w skutki pomyślne. Spostrzeżenie to, wielokrotnie stwierdzone, tem bardziej prawdziwem okazało się w Grecyi, której ludność, zaczerpnąwszy za ledwie pewnych elementarnych wiadomości w licznych szkołach ludowych, a odznaczająca się usposobieniem nadzwyczaj wrażliwem i namiętnem, w sposób gorączkowy zapagnęła kierować losami narodu i jak najprędzej uwolnić zostających jeszcze w niewoli współbraci.

Aby w takich warunkach mieć wpływ na masy, nie dość jest umiejętnie i uczciwie służyć sprawie publicznej. Na to potrzeba szczególnej zdolności ujmowania sobie współobywateli, daru przekonywania ich, nie drażniąc miłości własnej, a niekiedy nawet zręcznego łudzenia zaślepionych, byle tylko zapobiedz rzeczom przedwczesnym i szkodliwym, które, jakkolwiek najbardziej pożądane w oczach zapaleńców, tylko ujemne mogłyby spowodować następstwa. Takich polityków nie posiada, niestety Grecya dzisiejsza, a obecni jej t. zw. przewodcy, zamiast kierować narodem, dają się unosić prądem panującym

i żeby nie utracić popularności, o ile możliwości starają się wypełniać żądania mas roznamiętnionych. Zamiast zwolna i umiejętnie, bez zbytniego przeciążenia ludności, przygotowywać się do przyszłej wojny z zawsze jeszcze potężną Turcją i wyczekiwać w tym celu chwili stosownej, Grecya bardzo znaczną utrzymuje armię i flotę i ciągle je powiększa, a nawet kilkakrotnie już zrywała się w porze nader niewłaściwej do tak nierównej dla niej walki.

Oczywiście skutki takiej polityki musiały w sposób nader fatalny odbić się na finansach greckich, tem bardziej, że nie brakło także innych powodów ich upadku, a pochodzących z pobudek nierównie mniej szlachetnych.

Grecy obok wielu niepospolitych przymiotów, posiadają jedną wadę w wysokim stopniu rozwiniętą, a mianowicie olbrzymią dozę próżności. Dla zaspokojenia jej, bardzo wielu polityków greckich stara się za każdą cenę zdobyć sobie jak największą popularność, tak, iż nietylko nie ma odwagi wystąpić przeciw szkodliwym prądom politycznym, ale nawet nie waha się używać najróżniejszych środków, dla pozyskania sobie jak największej liczby przyjaciół i zwolenników.

W tym celu bardzo wielu posłów popiera nader usilnie interesa lokalne swych okręgów wyborczych, nieraz niezgodne z dobrem całego

kraju, a nawet wymagania i zachcianki, nie odpowiadające ich potrzebom istotnym, jak np. zakładanie coraz liczniejszych szkół średnich, budowę nowych dróg itp.

Szczególniej pod tym ostatnim względem działy się nadużycia, w wysokim stopniu oburzające. Dla dogodzenia interesom niektórych osób wpływowych, pobudowano gościeńce, dla ogółu mieszkańców tych okolic zupełnie bezużyteczne, a jak mię zapewniali ludzie światli i wybornie znający stosunki swojego kraju, są nawet takie pomiędzy niemi, przez które tygodniowo zaledwie kilka wozów przejeżdża.

— Ale jakże większość posłów — zawołałem zdziwiony — mogła uczynić zadość takim żądaniom?

— Są to rzeczy — odpowiedziano mi na to — istotnie zdumiewające, a jednak przy naszym charakterze narodowym częstokroć nieuniknione. Posłowie bowiem, występujący z tego rodzaju wnioskami, grozili, że w razie odmowy przyłączą się do opozycji i obalą ministerstwo. Tak więc, aby uniknąć tej ostateczności, czyniono im ustępstwa, choć niewątpliwie szkodliwe dla kraju, a co najgorsza, na przyszłość zachęcające do podobnych nadużyć.

W sprawach tego rodzaju, oprócz ambicji, nader ważną rolę odgrywają także interesa osobiste, tak, że niekiedy tworzą się jakby formalne

spółki pomiędzy deputowanymi a ich wyborcami. Tacy posłowie nieustanną opieką otaczają swoich zwolenników, popierając ich starania o urzędy intratne, lub jakiekolwiek korzyści materyalne, a w zamian za to mają jakby stałe gwardye, na każde skinienie gotowe do wszelkiej akcji politycznej. Ta usłużność posłów dla swoich wyborców posuwa się nieraz do granic arcykomicznych. Zdarzały się nawet wypadki, że kiedy najpospolitsi złodzieje dostawali się w ręce sprawiedliwości, deputowani z ich okręgów wyborczych występowali w roli pośredników, zwracali poszkodowanym przedmioty ukradzione i dopóty dokładali najusilniejszych starań i zabiegów, aż w końcu ci szanowni obywatele, jakkolwiek w niezupełnej zgodzie żyjący z kodeksem karnym, odzyskiwali wolność i zupełne bezpieczeństwo.

Wypadki tego rodzaju świadczą najwymowniej, jak potężnym czynnikiem w tamtejszych stosunkach politycznych są interesa prywatne, tem donioślejsze mające znaczenie, że zbyt często grupujące około siebie dość liczne żywioły o dążnościach pokrewnych.

Nierzadko powtarzające się przykłady takiej — jak dawniej u nas mówiono — prywaty, musiały też nader niepomysłnie oddziaływać na stosunki skarbu greckiego.

Nie ulega wątpliwości, że ludzi daleko lepiej poznaje się przy zabawie, niż przy pracy. Wybór zajęcia bowiem najczęściej nie zależy od nas, a do staranności i energii pobudza nas chęć zysku, lub przynajmniej konieczność zdobycia sobie niezbędnych warunków egzystencji. Natomiast w wyborze przyjemności nie krępują nas żadne wpływy zewnętrzne, zależy on niemal wyłącznie od naszych gustów i upodobań.

Jeżeli zasadę tę zastosujemy do turystów, dochodzimy również do wniosków wcale charakterystycznych. Jedni studują muzea, wspinają się na wysokie szczyty, lub nie obawiając się trudów i niewygód, przebiegają krainy mało znane i na wpół dzikie, inni śpieszą do Ostendy lub do Monaco... Nawet pomiędzy zwiedzającymi te same miejscowości, a szczególnie wielkie miasta, jakże odmienne spotykamy typy!

Pewna pani, po kilkotygodniowym pobycie w Paryżu, z niesłychanym zapałem wyrażała się o stolicy nadsekwańskiej.

— Cóż się pani najbardziej podobało? — zapytano ją w pewnem towarzystwie.

— Ach oczywiście, że Louvre! — zawołała z emfazą.

— Któryż z działów tego znakomitego muzeum zwrócił szczególną uwagę pani?

— Ależ ja wcale nie studiowałam muzeów — odrzekła dama z lekceważeniem — zostawiam

to Anglikom, profesorom i tym podobnym pedantom. Z mojego pobytu w Paryżu starałam się skorzystać, aby jak dokładniej poznać słynne i znakomite „magasins du Louvre“.

Iluż podobnych turystów u nas, którzy wspo-
 jąc o swoich wrażeniach z podróży, opowia-
 dają o wybornych kotletach w Dreźnie, znako-
 mitem winie w Brukseli i czarującym półświatku
 Ostendy!

Znałem pewną damę, która wróciwszy
 z Rzymu, unosiła się tylko nad toaletami królo-
 wej Małgorzaty, a po dłuższej bytności we
 Francyi, najchętniej opowiadała o audyencji
 u Wortha!

Ale nawet z turystów o nierównie powa-
 żniejszym zakroju, jakże wielu zwiedza tylko
 rzeczy najgłośniejsze, a pomija nierównie cieka-
 wsze i ważniejsze. Z miast włoskich cały szereg
 mógłbym wyliczyć, zwykle omijanych, chociaż
 zawierających prawdziwe arcydzieła i pierwszo-
 rzędnej wagi zabytki starożytności.

Do tego rodzaju pomników niezrównanej
 piękności, a przecież u nas przynajmniej na
 wpół zapomnianych, należy także akropolis
 ateńska.

Zwykle i słusznie uważamy forum rzymskie
 jako jedno z tych niewielu miejsc klasycznej
 starożytności, nad którym jakby unosił się je-
 szcze duch pogańskiej Romy. Ileż myśli i

wspomnień tłoczy się na widok tych szczątków minionej potęgi i chwały! A jednak jakże ubogie to forum rzymskie, w porównaniu z ową dumnie wznoszącą się skałą, z której oko obejmuje znaczną część Attyki i prześlicznej zatoki sarońskiej, a której czoło wieńczy Partenon, po wszystkie wieki i czasy najwspanialsze dzieło architektury!

Porównywając *forum Romanum* z ateńską akropolis, nie myślę wcale obniżać znaczenia zabytków rzymskich. Chciałbym tylko zwrócić uwagę, jak dalece szczęśliwszą jest pod tym względem Grecya, posiadając w Atenach cały szereg pomników z najpiękniejszego okresu sztuki starożytnej i w ten sposób ugrupowanych dokoła Partenonu, iż na widok ich życie dawnych Hellenów jakby w latarni czarnoksiężkiej przesuwają się w naszej wyobraźni.

Na forum rzymskiem oprócz trzech łuków tryumfalnych, kilku kolumn i małej świątyni pogańskiej, w sposób barbarzyński przerobionej na kościółek chrześcijański, pozostały tylko fundamenta i bezkształtne szczątki dawniejszych budowli. Przeciwnie w Atenach, Partenon, Erechteion, Propilee, świątynia bogini zwycięstwa, teatr Dyoniza, odeon Heroda, świątynia Tezeusza itd. — chociaż w ruinach, jednak zawsze jeszcze dość dobrze zachowane, ażeby mogły dać dostateczne wyobrażenie o swej pierwo-

tnej świetności. Tem większego zaś wrażenia do
znajemy na widok tych nie-pożytych dzieł geniu-
szu greckiego, że widzimy je tuż obok siebie, że
stanowią jakby zaczarowany przybytek sztuki
klasycznej, który w sposób iście cudowny ocalał,
pomimo niezliczonych burz, jakie przez dwa ty-
siące lat przeciągały nad tą krainą.

Dziwne też koleje przebywał najwspanialszy
z tych pomników, Partenon, niedościgniony dotąd
ideał przedziwnej lekkości i harmonii. W wieku
VI-tym po Chr. przerobiono go na kościół chrze-
ściański, oprócz kilku pomniejszych zmian, oszpe-
cając absydą bizantyńską. Po upadku zaś Kon-
stantynopola, zmienili go Turcy na meczet; wów-
czas też dobudowano doń minaret, jako niezbe-
dny dla ich praktyk religijnych. W wieku XVII.
urządzono w nim prochownię. Jednak mimo tych
przejęć, oprócz tych oszpecających go dodatków,
prawie do końca owego stulecia zachował się Par-
tenon w całości i w swych kształtach pierwo-
tnych. Fatalnym dlań był dopiero r. 1687, kiedy
to Wenecyanie, oblęgając Ateny, zdołali zapalić
nagromadzone w nim prochy. Wtedy to zburzoną
została *cella* świątyni i obalono 14 kolumn z por-
tyku północnego i południowego.

W sto lat później podróżnicy europejscy do-
konywali dalszego dzieła zniszczenia. W r. 1787
hr. Choiseul. Gouffier część fryzu przewiózł do
Paryża, obecnie znajdującą się w Luwrze. Za

jego przykładem poszedł lord Elgin i uzyskawszy firman sultkański, zezwalający na wywiezienie z akropolis ateńskiej „kilku odłamów skał, wraz z znajdującymi się na nich rzeźbami“, zabrał resztę fryzu, parę kolumn i kapiteli, wreszcie wszystkie posagi, które zdobiły niegdyś frontony świątyni. Jak wiadomo, obecnie znajdują się one w British Museum.

Pomimo tych spustoszeń i chociaż pozbawiony swych ozdób, nie przestał Partenon ogólnego wzbudzać podziwu.

Najlepiej utrzymaną jest zachodnia strona jego perystylu, wznosząca się na trzech wysokich stopniach i oparta o ośm prześlicznych kolumn doryckich. Fronton tego boku, jakkolwiek miejscami uszkodzony, w ogóle jednak zachował swoje kształty pierwotne. Kolumny i fryz strony wschodniej również zachowane w całości. Natomiast z 34 kolumn boku północnego i południowego, 14 uległo poniekąd zniszczeniu, podobnie jak *cella* Partenonu, podczas owej nieszczęsnej eksplozyi w roku 1687. Cała świątynia, nie wyłączając nawet stopni do niej wiodących, zbudowana z prześlicznego marmuru pentelickiego.

Wysokość kolumn wynosi dziesięć i pół metra. Jednak tak kolumny, jak cała świątynia, wydają się daleko wyższe, niż są w istocie. Przez długi czas nie umiano sobie tego wytłómaczyć. Dopiero nader staranne badania ar-

chitektów angielskich wykazały właściwą przyczynę tego zjawiska.

Przypatrując się uważnie kolumnom, spostrzegamy, że nie wznoszą się one prostopadle ponad podstawę, lecz, że są nieco pochylone ku środkowi, tak, iż osie ich bardzo znacznie przydłużone ku górze, zbiegłyby się w wspólnem ognisku. Podobnież zauważano, że linie poziome nie biegną w kierunku ściśle horyzontalnym, lecz, że wszystkie są nieco wklęsłe. Za pomocą tych dwóch środków, jako też cudownej harmonii poszczególnych części budowy, osiągnęli twórcy Partenonu, iż wydaje się on daleko większym, niż rzeczywiste jego rozmiary.

Dokładne badania pomników, znajdujących się na akropolis ateńskiej, wykazały jeszcze jedną właściwość budownictwa greckiego, a mianowicie, że kolumny narożne są nieco wyższe i grubsze od innych i że odstępy, dzielące je od kolumn sąsiednich, są mniejsze, niż w innych częściach budowy. Architekci greccy zapobiegali w ten sposób mylnemu wrażeniu, jakiego doznawalibyśmy, z powodu większego oświetlenia kolumn narożnych; gdyby bowiem były równych z innemi rozmiarów, wydawałyby się od nich cieńsze i niższe.

Drugą z wspaniałych ruin, wieńczących akropolis ateńską, jest Erechteion, nazwany tak od imienia swojego założyciela, jednego z pier-

wszych królów Attyki. Składa się on z dwóch świątyń, z których wschodnia poświęcona była na cześć Ateny, opiekunki miasta, a zachodnia córce Cekropsa, pierwszej jej kapłance. Przechodził on podobne koleje jak Partenon. W wieku VI. usunięto mur, dzielący obydwie świątynie i zamieniono je na kościół chrześcijański. Po zawojowaniu zaś Grecyi przez Turków urządzono w nim harem agi, dowodzącego załogą tamtejszą. Jednak dopiero w bieżącym stuleciu spotkały go klęski dotkliwe. Podczas ostatniej walki o niepodległość, Turcy, ostrzeliwując Ateny, zburzyli znaczną część portyku północnego, lord Elgin zabrał jedną z kolumn wschodniej części perystylu i jedną z karyatyd portyku zachodniego, wreszcie trzęsienie ziemi w roku 1852 zupełnie zniszczyło górną część świątyni. Z tej prześlicznej budowy zachowała się więc, oprócz murów środkowych, tylko część portyku wschodniego i północnego, jako też część portyku karyatyd, ale to, co pozostało, jakże przedziwną odznacza się lekkością i harmonią. Kolumny jońskie przybytku Ateny, nader wysmukłe, o prześlicznych kapitelach, należą do najpiękniejszych, jakie przechowały się z czasów klasycznej starożytności. Jeszcze większy podziw wywołują karyatydy zachodniego portyku. Jakkolwiek znacznie większe od postaci ludzkich w naturalnej wielkości, nie robią wrażenia kolosów,

a chociaż znamionuje je dziwny spokój i powaga, wcale nie są sztywne — przeciwnie odznaczają się rzadkim wdziękiem i lekkością. Podobnie jak kolumny, i karyatydy są nieco pochylone ku wnętrzu świątyni, każda z nich mając jedną nogę trochę zgiętą, jakby nieco wstecz się podawała — co budowie tej, złożonej z dwóch części odmiennych, nadaje wspólne piętno harmonijnej całości.

Pomiędzy Erechteion a Partenonem i równoległe z nimi ciągnie się „droga święta” przez którą tysiące Ateńczyków przechodziło podczas świąt uroczystych. Tędy przez wieki płynęły tłumy nabożnych, aby cześć oddać Atenie w jej wspaniałych przybytkach. Procesje te były tak liczne, iż w końcu głęboki ślad w skale wyżłobiły.

Jakże zachwycający widok otwierał się tym pobożnym pielgrzymom, kiedy zbliżając się do szczytu akropolis, po lewej ręce ujrzeli Erechteion, a po prawej Partenon, w całym blasku ich pierwotnej świetności i dokoła otoczone mnóstwem pomniejszych ołtarzy i posągów!

Już u stóp akropolis w zachwyt wprawiały ich Propilee, niezrównanej piękności przedsionek tego istnego przebytku bogów. Obecnie pozostały z nich tylko szeregi przepysznych kolumn, ale w starożytności tak dalece olśniewały nawet znawców wykwintnych, iż niektórzy z nich sta-

wiali je wyżej od Partenonu. Lecz i dziś jeszcze, choć bardzo znacznie uszkodzone przez średnio-wiecznych ksiąząt ateńskich i przez Turków, tak wielkością, jak harmonijnym układem potężne sprawiają wrażenie.

Północne skrzydło Propileów łączy się z Pinakoteką, w której przechowywano arcydzieła malarzy ateńskich, południowe zaś z wysuniętem nieco ku zachodowi olbrzymiem podmurowaniem, na którem wznosi się mała świątynka bogini zwycięstwa. Od strony wschodniej i zachodniej zdobią ją portyki, opierające się o prześliczne kolumny jońskie; całą budowę znamionuje dziwna lekkość i smak wytworny. Z świątyni tej cudowny też roztacza się widok na znaczną część Attyki, prawie całą zatokę sarońską i jej wyspy, jako też wybrzeża i góry Argolidy.

Jak wiadomo, było to jedną z właściwości starożytnych, iż z obrzędami religijnemi ściśle łączyli igrzyska i tym podobne zabawy szlachetne. To też i w obrębie akropolis, poświęconej wyłącznie czci bogów, znajdowały się dwa teatry, a mianowicie teatr Dyoniza i odeon Heroda.

Pierwszy z nich, nazwany tak z powodu, że przedstawienia dawano w nim na cześć tego bożka, jest jednym z najstarszych zabytków tego rodzaju. Wybudowano go w ten sposób, iż amfiteatr, przeznaczony dla publiczności, opiera się o południowy stok akropolis. O wielkości jego daje

wyobrażenie średnica, która wynosi 160 metrów i szerokość sceny, licząca 25 metrów. Przy tak wielkich rozmiarach 30.000 widzów z łatwością mogło się w nim pomieścić.

Stopnie, na których siedziała publiczność, pierwotnie urządzone były z drzewa; po r. 500 przed Chr. wybudowano je z kamienia pirejskiego, oprócz miejsc najbliższych sceny, które były z marmuru pentelickiego. Przeznaczono je dla wysokich dostojników i w ogóle ludzi zasłużonych i znakomitych.

Środkową część teatru zajmowała *orchestra* z ołtarzem Dyoniza, dalej zaś o półtora metra nad nią wznosiła się scena, która niegdyś opierała się o sześć posągów, przedstawiających bożka Sylena w postawie Atlasa, dźwigającego kulę ziemską. Prócz tego tak amfiteatr, jak scenę i *orchestrę* zdobiło mnóstwo rzeźb i posągów, z których dziś niestety już tylko nieliczne ślady pozostały.

Jakże dziwnego doznajemy wrażenia, patrząc na ten najstarszy z teatrów ateńskich, w którym po raz pierwszy przedstawiano arcydzieła Eschyla, Sofoklesa i Eurypidesa — na jeden z tych przebytków, w którym skupiało się życie artystyczne Hellady, już w starożytności tak wiele mające uroku dla wszystkich ludzi wykształconych!

Temu to wpływowi zawdzięczały Ateny, że pomimo utraty wolności politycznej nie przestały

być jednym z najpotężniejszych ognisk cywilizacji ówczesnej. Przez długie wieki śpieszyła doń młodzież, nawet z dalekich krajów, chcąc zaczerpnąć wiedzy u filozofów ateńskich, z odległych krańców *imperium* rzymskiego przybywali podróżnicy, aby podziwiać nieprześcignione dotąd arcydzieła. A byli między innymi i tacy, którzy nie tylko zachwycali się tem miastem, w którem wszystko świadczyło o wysokiej oświacie i smaku wykwinnym. Niektórzy z nich zapragnęli trwałe pozostawić ślady czci swojej i podziwu. Z cudzoziemców bowiem, zwiedzających Ateny, wiele było ludzi bogatych, lub nawet książąt i królów z dalekich krajów Azji i Afryki. Przybysze ci, choć obcego pochodzenia, jednak pełni zapału dla cywilizacji greckiej, obok wytwornych budowli z czasów Cymona i Peryklesa, wznosili nowe, niemniej wspaniałe, a mające po wszystkie wieki być wyrazem ich hołdu dla tego ogniska sztuki i literatury.

Szereg ich rozpoczyna król egipski Ptolemeusz II., który z początkiem III. w. przed Chr. wybudował w Atenach gimnazjum, od imienia swojego założyciela nazwane Ptolomaeon. Za jego przykładem poszedł niebawem Macedończyk Dyogenes, zakładając inne z gimnazyów ateńskich, które również przybrało nazwę od imienia swojego dobroczyńcy. W wieku następnym król Pergamu Attalus I. wielką ilością posągów przyo-

zdobitł wschodnio-południową część akropolis i nowym ogrodem otoczył Akademię Platońską. Jego następca Eumenes II. wybudował przepyszny portyk obok teatru Dyoniza. Król syryjski Antyoch III. bardzo znacznie przyczynił się do budowy ogromnej i prześlicznej świątyni Jowisza Olimpijskiego. inny Syryjczyk Andronikus wzniósł swoim kosztem do dziś dnia nieźle zachowaną „Wieżę wiatrów“, która właściwie była olbrzymim zegarem wodnym i słonecznym. Pomiedzy dobroczyńcami tego miasta, które nawet dla cudzoziemców posiadało taki urok niezwykły, znajdujemy także nazwiska Pompejusza, dwóch królów Kapadocyi, Attala II., króla Pergamu i t. d.

Największym atoli dobrodziejem Aten, był cesarz rzymski Hadryan, który ukończył budowę świątyni Jowisza Olimpijskiego, wybudował drugą świątynię na cześć tego bożka, gimnazjum, bibliotekę, wreszcie wspaniałą bramę, łączącą nową dzielnicę miasta, ze starą, zdawna i do dziś dnia noszącą jego nazwisko.

Przykład Hadryana nie pozostał bez wpływu na innych. Słynny z swych bogactw Herod, zwany *Atticus*, przyozdobił stadjum Likurga i wybudował jeden z najprzepyszniejszych teatrów greckich, na cześć jego nazwany „Odeonem Heroda“.

W starożytności odeony tem się różniły od zwykłych teatrów, że były kryte i że dawano

w nich przeważnie tylko przedstawienia muzyczne. Odeon Heroda miał prześlicznie rzeźbiony strop z drzewa cedrowego. Średnica amfiteatru wynosiła 80 metrów, a szerokość sceny przeszło 35 metrów. Z miejsc, przeznaczonych dla publiczności, dwadzieścia rzędów najbliższych sceny wyłożone były marmurem, najwyższe stopnie zdobiły portyki, biegnące dokoła amfiteatru. Środek zajmowała *orchestra* dalej zaś była scena, jak zwykle nad poziom jej nieco wzniesiona. Odeon, podobnie jak teatr Dyoniza, znajdował się na południowym stoku akropolis.

Dokoła niej do dziś dnia zachowało się jeszcze wiele innych pomników starożytności. Wspomnę tylko o jednym z nich, dotąd wybor nie utrzymanym, a mianowicie o świątyni Tezeusza.

Jakkolwiek wybudowana w pierwszej połowie wieku V. przed Chr., świątynia ta najlepiej zachowała się ze wszystkich tego rodzaju za bytków w Grecyi i we Włoszech. Tylko *cella* jej uległa pewnym zmianom, chrześcijanie bowiem przerobili ją na kościół św. Jerzego. Turcy chcieli ją zburzyć, jednak zapobiegł temu wydany w tej sprawie firman sułtański. Z kolumn wewnętrznych tylko kilka zostało nieco uszkodzonych, podczas trzęsienia ziemi w r. 1821, zresztą wspaniały ten pomnik budownictwa greckiego

w zupełności utrzymał się w swych kształtach pierwotnych.

Zdała już świątynia Tezeusza sprawia nadzwyczaj imponujące wrażenie. Zbliżywszy się do niej, ze zdumieniem spostrzegamy, że rozmiary jej są daleko mniejsze, niż zrazu sądziliśmy; jest to skutkiem owych właściwości budownictwa greckiego, o których wspomniałem powyżej.

Podobnie jak Partenon, cała zbudowana z marmuru pentelickiego. Dokoła otacza ją perystyl, opierający się na 34 kolumnach w stylu doryckim. Tak fryz perystylu, jak wschodniego i zachodniego boku *celli*, ozdobiony jest rzeźbami, niestety znacznie uszkodzonymi. U wejścia do *celli* znajdował się pierwotnie portyk, który usunięto, przerabiając ją na kościół chrześcijański.

Pomimo tych zmian i uszkodzeń, świątynia ta z powodu swej nader harmonijnej całości jest jednym z najznakomitszych zabytków architektury klasycznej.

Oto najważniejsze budowle akropolis ateńskiej, lub znajdujące się w najbliższem jej sąsiedztwie. Już sama ilość ich i pochodzenie z najpiękniejszego okresu sztuki starożytnej, czynią Ateny najwspanialszym jej przybytkiem, jednym z tych miejsc, które przez długie wieki



jeszcze będą celem pielgrzymek prawdziwych jej znawców i zwolenników.

* * *

O milę od Aten leży starożytny Faleron, jedna z przystani ateńskich, które już w V. wieku przed Chr. długimi murami połączone były z tem miastem. Obecnie Pireus jest głównem ogniskiem ruchu handlowego, a Faleron niemal wyłącznie miejscem kąpielowem, w którym oprócz kilkunastu will, są dwa porządne hotele, parę zakładów kąpielowych i kilkanaście pomniejszych gospód dla ludności uboższej.

Bliskie jego sąsiedztwo, obok tanich i łatwych komunikacyj, nieocenionem jest dla mieszkańców Aten, osobliwie w porze letniej, kiedy upały zwykle dochodzą do 40 stopni Celsusza, a bardzo często nawet znacznie tę cyfrę przekraczają. To też od połowy czerwca do końca września Faleron przepełniony jest publicznością, a zwłaszcza wieczorem, kiedy Ateńczycy tłumnie opuszczają duszną atmosferę stolicy, aby choć na chwilę orzeźwić się kąpielą i odetchnąć świeżem powietrzem morskiem.

Klimat Grecyi, a szczególnie Attyki, nadzwyczajnie jest suchy i gorący. Najlepiej przekonywamy się o tem, porównywając średnią temperaturę Aten i innych miast, leżących pod

tym samym stopniem szerokości geograficznej. I tak np. w miesiącu lipcu średnia temperatura Lizbony wynosi 21·7, Palermo 25·4, w Atenach zaś 27·5. Nadto powietrze jest tak suche, iż od kwietnia do października deszcz nigdy tam nie pada, a w miesiącach letnich nie ma nawet najmniejszych śladów rosy.

Temu to brakowi wilgoci zawdzięczają Ateny słynną swą z przeźroczystości atmosferę, której równą spotykamy zaledwie w Górnym Egipcie i w ogóle w krajach, znacznie dalej na południe położonych. Ta suchość jej pozwala nam w całym blasku południowego słońca podziwiać wspaniałe pomniki ateńskie, ale zarazem sprowadza przeróżne nader przykre następstwa, z których jednym z najdotkliwszych jest niesłychana ilość moskitów.

Ktoś, co zapoznał się z niemi w południowej Francyi lub we Włoszech, nie ma jeszcze dostatecznego wyobrażenia o ich dokuczliwości w Grecyi. Jeżeli np. we Włoszech tylko w nocy strzedz się ich należy, w Atenach walka z niemi jest nieustanną. Drobnym ten owad rozmnaża się nadzwyczaj szybko i wciska się wszędzie, a ukąszenia jego sprowadzają nad wszelki wyraz niemiłe swędzenie, drażniące poniekąd cały system nerwowy. Po kilkotygodniowym pobycie, wrażliwość pod tym względem do tego stopnia się wzmacnia, iż w nocy, kiedy już minęło pierwsze

znuzenie, nawet ze snu budzi brzęk przelatujących koło uszu moskitów. Walka z nimi w porze letniej jest tem trudniejszą, iż z powodu wielkich upałów ani wieczorem, ani nad ranem okien zamknąć nie podobna.

Tem chętniej więc ze zmierzchem opuszczają Ateńczycy swe miasto, aby przynajmniej na parę godzin uwolnić się od tego nieustannie czyhającego nieprzyjaciela i ochłodzić się nieco nad brzegiem morskim. O tej porze kawiarnie i restauracye w Faleron nadzwyczajnie są ożywione, a w lepszych tego rodzaju zakładach nie trudno znaleźć towarzystwo ludzi miłych i wykształconych.

Grecy, jak wszyscy południowcy są bardzo rozmowni, a dla cudzoziemców nadzwyczaj uprzejmi. Znajomości zawiązują się łatwo, a w pogadankach tych, oprócz przyjemnej rozrywki, można dowiedzieć się wielu rzeczy nader ciekawych o usposobieniu i stosunkach ludności tamtejszej.

Już na statku, płynąc z Tryestu do Patras, poznałem się z kilkoma Grekami, z którymi nie tylko trzydniową podróż morską odbyłem bardzo przyjemnie, ale nadto zawdzięczam im wiele cennych informacji i niezwykłych objawów uprzejmości. Szczególnie wiele dowodów nader ujmującej i serdecznej życzliwości złożył mi p. J. D.

któremu niechaj mi wolno będzie złożyć tu wyrazy najszczerzej podziękui.

P. D. wychowywał się w Paryżu, następnie wiele odbywał podróży, obecnie zaś jest kierownikiem jednego z pierwszorzędných zakładów finansowych w Atenach. Zbyteczną rzeczą byłoby dodawać, jak miłem jest towarzystwo takiego człowieka, który ze znajomością świata i niepospolitem wykształceniem, łączy nader sympatyczne usposobienie i wykuintne formy towarzyskie. Z nim razem jechał także młodszy brat jego, jako też matka ich i siostra, piękna pani K. Pierwsza z nich, kobieta niepospolitej inteligencji i ujmującej dobroci serca, wracała właśnie z Wiednia, dokąd udała się była na konsultacyę lekarską. Niestety wynik jej był niepomyślny, a pani D. wkrótce po powrocie do Aten, rozstała się z tym światem.

Około tego grona zbierało się jeszcze kilka innych osób, przeważnie Greków, zamieszkałych w Atenach, Smirnie lub Tryeście, ludzi wykształconych i najlepszych form towarzyskich. Dowiedziawszy się, że jako turysta jadę do Grecyi, nie szczędzili mi rad swych i uwag, bardzo pożądaných dla każdego cudzoziemca, po raz pierwszy przybywającego do kraju zupełnie sobie obcego P. D. udzielił mi bardzo cenných wskazówek, odnoszących się do pobytu mojego w Atenach i później stale się mną opiekował, p.

Chr. mieszkający w Smirnie, zachęcał do zwiedzenia tego miasta i przyrzekał wszelkie poczynić mi ułatwienia w wycieczkach do Efezu i innych w pobliżu znajdujących się zabytków starożytności. W ogóle, tak w gronie moich ówczesnych towarzyszków podróży, jak później w Patras, Pyrgos, Atenach i Nauplii, wszędzie spotykałem się z licznymi dowodami najszczerzej życzliwości. Nawet ludzie z warstw niższych prawie zawsze zachowywali się w sposób nader przychylny.

Zauważałem, że bardzo im było miło, kiedy przemawiałem do nich po grecku. Parę słów, wypowiedzianych w tym języku choćby tylko przy powitaniu: *kalimera* (dzień dobry, lub *efecaristo* (dziękuję, usposabiała ich bardzo życzliwie i widocznie podwajały ich gotowość do usług. Pochlebiało to niewątpliwie ich dumie narodowej, że cudzoziemiec, przybywający dla zwiedzenia ich kraju, nie tylko nie lekceważy ich mowy, lecz przeciwnie stara się z nią zapoznać i przemawia w ich języku.

Wogóle niejednokrotnie przekonywałem się, że Grecy bardzo wiele zwracają uwagi na opinie, jakie panują o nich w Europie i że nawet wielce są pod tym względem drażliwi. Podczas mojego pobytu w Faleron, poznałem się z dwoma oficerami artylerji, ludźmi wykształconymi i niewątpliwie wyższej inteligencji. A ponieważ panowie ci także dość wiele podróżowali, przeto

często rozmawialiśmy o Włoszech i Francyi, przy-
czem mimowolnie nasuwały się nam porównania
stosunków tamtejszych z greckimi. Moi znajomi
zwykle wówczas dodawali:

— Niewątpliwie kraje te wyższą odznacza-
ją się cywilizacją, niż nasza biedna Grecya, ale
przecież i u nas nie jest tak źle, jak powsze-
chnie sądzą w Europie.

Oczywiście zawsze protestowałem przeciw
temu, jakoby w innych krajach europejskich tak
niekorzystne o Grecyi panowały wyobrażenia.
Obydwaj przyjmowali to jako najzwyczajszy
objaw grzeczności, jednak pewnego razu jeden
z nich, jakby zniecierpliwiony mojem przecze-
niem, zawołał:

— Ależ przecie w Europie powszechnie uwa-
żają nas jako kraj złodziei i bandytów!

Wprawdzie i wówczas starałem się zaprze-
czyć temu mniemaniu, lecz mimowolnie przypo-
mniały mi się uwagi, jakie przyjaciele moi czy-
nili mi, dowiedziawszy się, że się wybieram do
Grecyi. Niektórzy z nich najusilniej odradzali
mi tej podróży, przedstawiając kraj ten jako zu-
pełnie dziki i barbarzyński, a wycieczkę tego
rodzaju jako wielce niebezpieczną. Inni zalecali
mi zaopatrzyć się przynajmniej w wielką ilość
proszku perskiego i uzbroić się w parę rewol-
werów. Otóż obecnie, wróciwszy z tej podróży,
mogę ich upewnić, że nigdzie nie potrzebowałem

używać proszku perskiego, a rewolweru wcale nie wyjmowałem z kuferka, nawet podczas moich wycieczek w okolicach Olimpi i w Argolidzie, choć odbywałem je sam jeden i pieszo, lub powozem jedynie w towarzystwie woźnicy. Niemyszę wcale twierdzić, żeby w Grecyi nie było rozbójników, ależ przecie nie brak ich także w południowych Włoszech i w Sycylii, a jednak prowincye te nie słyną jako kraje, wyłącznie zamieszkałe przez bandytów.

W ogóle wrażenia, jakich doznawałem w stosunkach z ludnością grecką, były przeważnie dodatnie, a nie mam tu na myśli wyłącznie ludzi z warstw wyższych, wykształconych, lecz przeciwnie twierdzenie to opieram na podstawie spostrzeżeń, czynionych w szerokich kołach klas niższych, zaledwie z lekka dotkniętych cywilizacją nowoczesną. W przekonaniu tem, oprócz własnych doświadczeń, utwierdzają mnie także opowiadania dwóch Francuzów pp. A.-J., którzy wybornie znają Grecyę i właśnie wówczas wracali z Krety, po sześciomiesięcznym pobycie na tej wyspie.

Jeżeli w królestwie greckiem, z wyjątkiem kilku większych miast, jak Ateny, Patras i Naulpia, stosunki tamtejsze zbyt żywo przypominają wieki średnie, to na wyspie Kandyi, wskutek ciągłych prawie walk z Turkami, życie i potrzeby

mieszkańców tej nieszczęsnej krainy cofnęły się prawie do poziomu czasów pierwotnych.

Oczywiście o hotelach w znaczeniu europejskiem nawet mowy tam nie ma. W dwóch miastach największych, t. j. Kanei i Kandyi, znajdują się zaledwie nader liche gospody, z turecka zwane *khani*. W innych częściach tej rozległej wyspy nie ma nawet takich karczem, podróżni zniewoleni są więc z prośbą o gościnność zgłaszać się do monasterów, lub zajeżdzać, według przyjętego w Grecyi zwyczaju, do t. zw. *pappas*, t. j. księży wyznania greckiego. Mogą być pewni przyjęcia serdecznego, jednak objawy choćby największej gościnności i jakkolwiek niewątpliwie szczere, nie zdołają niestety zaspokoić nawet najskromniejszych wymagań.

Nieszczęśliwą Kretę tak dalece spustoszyły nieustanne prawie walki z Turkami, iż w mieszkaniach ludzkich, oprócz czterech nagich ścian, zwykle nic się nie zastaje. Moi znajomi też przez sześć miesięcy musieli sypiać na gołej podłodze!

Pod względem pożywienia również należało się uzbroić w abnegacyę iście spartańską. Rosół z baraniny, pilaf i kotlety baranie, oto zwykle *menu* ich śniadań i obiadów. Wina oprócz zmieszanego z żywicą, dostać nie podobna, o herbacie oczywiście nawet mowy być nie

może. Jedynym napojem wcale smacznym jest kawa, przyrządzona na sposób turecki.

Jak dokuczliwym jest taki brak rzeczy, niezbędnych według naszych europejskich pojęć i wymagań, o tem osobiście miałem sposobność dostatecznie przekonać się, parę dni bowiem w Elidzie spędziłem wśród podobnych warunków. Jednak obydwóch pp. A.-J. tak dalece ujmowała pełna szczerości i prostoty gościnność tych ludzi, iż z przyjemnością opowiadali o swoim kilkomiesięcznym pobycie na tej wyspie.

Stosunki, panujące w wioskach kandyockich, są w całym tego słowa znaczeniu patryarchalne, a przybycie cudzoziemców wypadkiem, wzbudzającym niezmierną ciekawość prawie wszystkich mieszkańców. Nieraz też zdarzało się, że kiedy moi znajomi wieczorem przybyli do jakiejś miejscowości i przedewszystkiem pragnęli choćby kilku chwil wypoczynku, otaczał ich nie tylko gospodarz z swoją rodziną, ale nadto bliżsi i dalsi jego sąsiedzi i zasypywali ich niezliczoną ilością zapytań.

Grecy są bardzo gorącymi patryotami i nader żywo ich wszystko obchodzi, co w jakimkolwiek może zostawać związku z przyszłością ich ojczyzny. A ponieważ dzienniki greckie przy braku odpowiednich komunikacyj, nie dochodzą do tych stron zapadłych, przeto przybycie cudzoziemców, a osobliwie z krajów, odzna-

czających się wyższą cywilizacją, nieocenioną jest dla nich sposobnością do zaspokojenia tej zresztą tak szlachetnej ciekawości. Pomimo więc znużenia i nieraz spóźnionej pory, pp. A.-J. musieli długie staczać dyskusye o ogólnem położeniu europejskiem, o stosunkach politycznych Grecyi i Turcyi, a przede wszystkim o widokach, jakie dla narodu greckiego otwierały się w najbliższej przyszłości.

Jak wszyscy potomkowie starożytnych Hellenów, tak i Kandyoci odznaczają się wymową, nieraz popadającą w nużącą rozwlekłość. Częstokroć zdania i poglądy, przez nich wypowiedzane, były banalne, lub grzeszące dziwną przesadą, ale jakże wzruszającym musi być widok tych ludzi, którzy chociaż doprowadzeni do nędzy, wskutek nieszczęsnych stosunków politycznych, niczego bardziej nie pragną, jak wzrostu potęgi i chwały swojego narodu!

Rys ten charakterystyczny tem bardziej zasługuje na uznanie, że nie brak im także innych przymiotów bardzo sympatycznych. I tak n. p. ludność tamtejsza, a w szczególności tak zw. *pappas* wcale nie są chciwi, a gościnność ich zwykle nie wypływa z chęci odniesienia jakich korzyści osobistych, jakkolwiek są to ludzie przeważnie bardzo ubodzy. Jak wiadomo, niższe duchowieństwo greckie, oprócz pewnych opłat za sprawowanie obrzędów religijnych, za-

dnej płacy nie pobiera. Głównem też źródłem jego utrzymania jest najczęściej jakiś zarobek uboczny, jakaś gałąź handlu drobnego, lub pełnienie obowiązków nauczycielskich w szkole miejscowej. Oczywiście w takich warunkach podróżni za gościnność ofiarują im pewne wynagrodzenie. Czynią to w ten sposób, iż odjeżdżając, składają im pewną kwotę. Nigdy jednak nie zdarza się, żeby ksiądz w obecności swych gości przeliczył pieniądze dlań pozostawione, lub domagał się większej zapłaty.

*

*

*

Na tego rodzaju rozmowach miały mi wieczory w Faleron. Zwykle pogadanki te przeciągały się dość długo, a kiedy o godzinie 12-tej w nocy wracałem do Aten, zastawałem jeszcze ruch tak wielki, jak np. o tej porze na bulwarach paryskich. Tramwaje przepełnione publicznością, na bulwarze Amelii, na ὁδῷ Σταδίου, na ulicy Uniwersyteckiej tłumy ludności. Na olbrzymim placu Konstytucyi muzyka wojskowa przygrywała: ustępy z oper najnowszych, a dookoła niej setki małych stoliczków, przy których Ateńczycy po dniu upalnym krzepili się chłodnikami, lub popijając kawę, przyrządzoną na sposób turecki, rozprawiali o polityce. Ruch powozów, nawoływania służby z kawiarni przyległych,

krzyki kolporterów, roznoszących dzienniki, wszystko to razem składało się na obraz barwnego i gwarneho życia, jakby jednej z wielkich stolic europejskich.

Później, kiedy mieszkałem w Faleron, pogadanki te jeszcze dłużej się przeciągały. Dopiero wtedy rozchodziliśmy się, gdy pogasły lampy elektryczne, umieszczone przed naszym hotelem i wypróżniło się wybrzeże, które do północy prawie zapełniały tłumy publiczności. I wówczas przedstawiał nam się widok, niepozbawiony pewnego uroku. Przy nadzwyczajnej przeźroczystości atmosfery ateńskiej, gwiazdy nierównie jaśniej świeciły, niż u nas; w tem półświecie fantastycznie rysowały się wzgórza otaczające, a morze spokojne, z lekka tylko szumiało. Zdawało się widać było kontury statków, z których świeciły małe lampki, na szczytach ich masztów płonące.

Z terasy hotelowej, dumając, napawałem się tym widokiem, aż wreszcie zmęczenie po całodziennych wrażeniach, zmuszało mnie udać się na spoczynek. Kiedy jednak minęło pierwsze znużenie, budziły mnie ze snu moskity. Wówczas ubrawszy się, znowu wychodziłem na terasę. Dniało już. Coraz wyraźniej, coraz dalsze odsłaniały się horyzonty. Cisza była tak wielka, iż z okrętów dochodziły mnie śpiewy majtków, po-

nure i żałosne zarazem, przypominające dzikie pieśni kleftów greckich...

Te zabytki niedawnej jeszcze przeszłości dopełniały tej dziwnej mozaiki, jaką przedstawia Grecya nowoczesna.



II.

O l i m p i a.

(*Wrażenie doliny olimpijskiej. — Jej zmienne koleje losu. — Badania archeologów. — Arcydzieło Praksytelesa. — Mieszczanie z Pyrgos. — Ich śpiewy. — Rozmowa o Polsce i o przyszłości Grecyi.*)

Zaledwie konduktor zawołał: „*stathmos ton Olympion*“, wszedł do mojego przedziału męszczyzna w średnim wieku, o rysach charakterystycznych greckich, który wyglądał na komisyonera hotelowego i nie pytając mnie o zezwolenie, zabrał moje pakuiki i zaprowadził mię do biura kolejowego. Tutaj naczelnik stacyi oświadczył mi:

— *Monsieur, j'ai l'honneur de Vous présenter Mr. le Directeur de l'hôtel „Ancienne Olympie.“*

Podziękowawszy za tę informację, udałem się wprost do hotelu. Przez drogę starałem się zawiązać rozmowę z „p. dyrektorem“, ale wszelkie moje usiłowania pozostały bez skutku, gdyż towarzysz mój nie mówił żadnym ze znanych mi języków.

Kiedy uszedłem kilkadziesiąt kroków i straciłem z oczu dworzec kolei żelaznej, znalazłem się w okolicy, której fizyognomia zapewne od wielu wieków prawie wcale się nie zmieniła. Była to prześliczna, wcale rozległa dolina, którą przepływają dwie rzeczki Alfeus i Kladeus. Dokoła otaczają ją wzgórza o średniej wysokości, okryte bujną roślinnością, a po za których od wschodu wychylają się dość wysokie szczyty gór arkadyjskich. Oprócz muzeum, wzniesionego kosztem jednego z bogatych bankierów ateńskich i obecnie na ukończeniu już będącego wielkiego hotelu, nie ma tu żadnych śladów cywilizacji nowoczesnej. Tak bowiem linia kolei żelaznej, idąca od Patras, jak bity gościniec, mniej więcej równolegle z nią przecinający Elidę, kończą się u wstępu do doliny, a dwie skromne gospody, nazywane szumnie „hotelami“, również nie psują ogólnej harmonii. Wprawdzie od wschodu ku zachodowi ciągnie się odwieczna droga, łącząca

Arkadyę z morzem, ale jest to raczej szeroka ścieżka, niż droga, którą przebywać można tylko konno lub pieszo.

W zachodniej stronie doliny zwolna wznosi się wzgórze, należące do wioski Druwa, na którym znajduje się muzeum, jakoteż hotel świeżo wybudowany, od północy zaś otacza ją góra Kronion, u której stóp ciągnie się owa droga, wiodąca do Arkadyi. Z góry tej jednym rzutem oka obejmuje się cały nader rozległy obszar, na którym niegdyś wznosiły się szeregi przepysznych świątyń, ołtarzy, kapliczek, posągów, skarbców i przeróżnych budowli, przeznaczonych dla senatu i kapłanów olimpijskich. Pierwsze wrażenie jest nad wszelki wyraz smutne, całe to bowiem pole zasiane gruzami, odłamami fryzów, kapiteli i kolumn, z których niewiele tylko oparło się fanatyzmowi Teodozjusza II, jakoteż trzęsieniom ziemi i niszczącej dłoni barbarzyńców.

Na ruinach tego ogniska starożytnej cywilizacji heleńskiej, powstało w pierwszych czasach wieków średnich nowe miasto bizantyńskie, a kiedy i to uległo zniszczeniu pod wpływem wylewów rzeczki Kladeus, w wieku VII. po Chr. rozsiadła się tu uboga wioska słowiańska. W wiekach następnych coraz częściej powtarzające się powodzie grubą warstwą żwiru i piasku zasypały dolinę olimpijską i uchroniły w ten sposób od

zupełnego zniszczenia drogocenne szczątki świętej przeszłości.

Przez długi czas zdawało się, że Olimpia na zawsze zniknęła z powierzchni ziemi. Nie zapomnieli o niej jednak archeologowie. Pierwsi uczeni francuscy zwrócili na nią uwagę; owocem ich poszukiwań było dokładne oznaczenie miejsca, w którym wznosiła się świątynia Zeusa, jakoteż znalezienie niektórych z jej rzeźb, znajdujących się obecnie w Luwrze. Za ich przykładem poszedł znany historyk niemiecki Curtius, który uzyskawszy znaczną subwencję od parlamentu niemieckiego, przez sześć lat (1875—1881). wraz z licznem gronem archeologów i architektów dalsze prowadził badania, a wynikiem ich było zupełne odkopanie fundamentów wszystkich celniejszych świątyń i budowli olimpijskich. Prócz tego znaleziono 130 rzeźb, 13 000 zabytków z brązu, 6000 monet itp. Najświetniejszą zaś zdobyczą jest posąg Hermesa, znaleziony w ruinach świątyni Hery, a będący — jak świadczy pisarz grecki Pauzaniusz — dziełem Praksytelesa, jednego z najznakomitszych mistrzów rzeźby starożytnej.

Chwila z życia tego bożka, przedstawiona przez znakomitego rzeźbiarza, powszechnie znaną była w świecie starożytnym. Jak wiadomo, Zeus czyli Jowisz, nie zawsze odznaczał się wiernością małżeńską. Jednym z owoców jego płochości oby-

czajów był bożek Dionizos, którego urodzenie tak wielki gniew wywołało jego szlachetnej małżonki Hery, iż król bogów obawiał się o życie swojego potomka. Przywołał więc Hermesa i polecił mu, aby oddał go nimfom na wychowanie. „Posłaniec bogów“ bezzwłocznie spełnił to zlecenie. W drodze z trzymał się w cieniu drzew i trzymając Dioniza w lewem rękę, prawą, aby go zabawić, poruszał gałązką winogron.

Kształty tego posagu przedziwną odznaczają się lekkością i harmonią, a co szczególnie uderza. to nader wdzięczny uśmiech, z jakim Hermes spogląda na powierzoną sobie dziecinę. Wszak do niedawna uważano to za pewnik, że w okresie najświetniejszym sztuki starożytnej, rzeźbiarze postaci, przez siebie odtwarzane, zawsze przedstawiali w stanie spokoju i dla tego też w arcydziełach z tej epoki nie widzimy gry fizyognomii, tak niezbędnej prawie dla dzisiejszego pokolenia. Poniekąd z tego tegoż powodu zawyrokował niezrównany znawca sztuki klasycznej Hipolit Taine, że Apollo belwederski, który niegdyś w taki zachwyt wprowadził Winkelmanna, pochodzi z czasów upadku sztuk pięknych w starożytności i wyraził się bardzo dowcipnie, iż posąg ten więcej niż do Apollina podobnym jest do szlachetnego lorda angielskiego, który w poczuciu swej nieskończonej wyższości, z najgłębszą pogardą spogląda na swe otoczenie.

Oprócz tego prawdziwego arcydzieła, przechowanego w muzeum olimpijskiem, nie ma tu zresztą prawie nic odznaczającego się wyższą wartością. Wszystkie inne rzeźby są mniej lub więcej uszkodzone i przeważnie mają tylko znaczenie archeologiczne. Niestety podobnie rzecz się ma z szczątkami świątyń i innych budowli olimpijskich. Oprócz bowiem przybytków Hery i Zeusa, jako też Buleuterion, t. j. pałacu, w którym zbierał się na narady senat olimpijski, wszystkie inne budowle są tak zniszczone, iż bez opisu Pauzanasza, nawet w wyobraźni nie możnaby ich sobie odtworzyć.

Czyż w obec tego warto jechać do Olimpii?

Warto i bardzo warto — odpowiemy, choćby dla samego posagu Hermesa i zwiedzenia tej czarującej doliny, której urok niewysłowny potęgują najpiękniejsze wspomnienia klasycznej starożytności.

* * *

Podczas pierwszego dnia mojego pobytu, nikogo z obcych nie było w Olimpii. Oprócz charakterystycznych postaci włóścian arkadyjskich, niekiedy przeciągających ową drożynkę wiodącą ku morzu, mojego gospodarza i jego nielicznej służby, nikogo zresztą nie widziałem w tej rozległej dolinie. Samotność ta również

miała swój urok, wrażenia bowiem, przypominające mi chwilę obecną, nie mąciły owych obrazów, które mimowolnie nasuwały zabytki odległej starożytności. A były one tem żywsze, że co pięć lat powtarzające się wielkie uroczystości olimpijskie odbywały się właśnie w tym samym czasie, t. j. z końcem czerwca lub z początkiem lipca. Na przemian więc przesuwwały się w mojej wyobraźni uroczyste procesye na cześć Zeusa, Hestyi i innych bóstw greckich, przepyszne postacie młodzieży heleńskiej, jej zapasy w stadyum, wyścigi w hipodromie, grona *hellanodików*, którzy z trybun swych przypatrywali się tym walkom i najdzielniejszym przyznawali palmę zwycięstwa, wreszcie uroczyste pochody uwieńczonych zwycięzców i ich wspólne uczty w prytaneum.

Wieczorem o zmroku zdawało mi się, że tysiące namiotów rozbito dokoła świątyń olimpijskich, w których koczowały tłumy pielgrzymów, przybyłych z najdalszych krańców świata greckiego. Niekiedy z gór dalekich dolatywało głucho naszczekiwanie psów pasterskich, zresztą cisza panowała tak uroczysta, jakby nawet ślepe siły przyrody najgłębszą czcią otaczały te zabytki wielkiej przeszłości.

Nazajutrz dwie rodziny mieszczańskie z pobliskiego Pyrgos przybyły do Olimpij. Po obejrzeniu rozległego pola ruin, wróciły do gospody

i pozostały w niej aż do wieczora, zajmując tak izbę jadalną, jak drugą, sąsiadującą z moim pokojem. Wkrótce po przybyciu, tak mężczyźni, jak kobiety, zaczęły śpiewać. Były to pieśni narodowe greckie, bardzo charakterystyczne, przeważnie żałosne i dość monotonne.

Dla mnie miały one powab nowości, z przyjemnością więc przysłuchiwałem się tym śpiewom, tem bardziej, że niektóre z nich uderzały mnie dziwnem podobieństwem z niejedną nutą dobrze mi znaną, którą nieraz słyszałem w kraju, a zwłaszcza na Rusi. Czyż byłyby to odwieczne pieśni słowiańskie, niegdyś przyniesione do Grecyi przez owe tłumy naszych pobratymców, które w wieku VII. osiedliły się w Peloponezie? A może raczej przybyły one do nas z starego Bizancyum wraz z religią chrześcijańską i jej kultem według wschodniego obrządku? Niestety, wcale nie potrafiłbym odpowiedzieć na te zapytania, to jednak muszę zauważyć, że odznaczały się zupełnie odmienną cechą od tych, które słyszałem w Faleron. Miały w sobie coś dziwnie miękiego i smętnego, podczas kiedy pieśni, śpiewane przez majtków, były przedewszystkiem dzikie i ponure.

W porze obiadowej wyszedłem z mojego pokoju i zająłem miejsce obok moich sąsiadów, którzy ciągle śpiewali. Zrazu tylko przypatrywaliśmy się sobie nawzajem.

Towarzystwo przybyłe z Pyrgos składało się z dwóch męszczyzn, ich żon, kilkorga dzieci i służącej, młodej kilkonastoletniej dziewczyny. Męszczyźni średniego wzrostu, krępi, o płowych włosach, wcale nie mieli rysów, znamionujących dawnych Hellenów, jeden z nich nawet dość żywo przypominał typ południowo-słowiański. Natomiast jedna z kobiet, a zwłaszcza owa młoda służąca, o pięknym owalu twarzy i rysach harmonijnych, smukła i kształtna, bardzo wyraźnie zdradzała pochodzenie greckie; obmyta należycie, mogłaby nawet służyć za niezły model dla rzeźbiarza. Wszyscy, chociaż niewątpliwie należeli do niższej klasy mieszczańskiej, ubrani byli w sposób europejski.

Przy końcu obiadu zwołna zawiązała się między nami rozmowa. Jeden z moich towarzyszków mówił po włosku, drugi, który przez czas jakiś bawił w Atenach, nauczył się nieco po francusku. Mogliśmy się więc jako tako ze sobą porozumiewać.

Wśród tej gawędki pierwszy z nich, ośmielony mojem przyjacielskiem zachowaniem się i widząc, że chętnie z nimi rozmawiam, zapytał mnie nagle:

— Przepraszam pana za moję śmiałość, ale chciałbym wiedzieć, czy pan jesteś Anglikiem, czy Francuzem?

— Ani jednym, ani drugim — odrzekłem.

— To może pan jesteś Niemcem?

— I tym nie — odpowiedziałem — jestem Polakiem.

Na te słowa mój interlokutor zrobił minę wielce zdziwioną; widocznie nigdy jeszcze nie słyszał o Polsce. Spostrzegł to drugi z moich towarzyszy, który przebywając czas jakiś w Atenach, choćby z dzienników musiał nabrać pewnych wiadomości i widocznie zawstydzony ignorancją swojego współziomka, zawołał z zapalem:

— Jakto, czyż nie słyszeliście nigdy o wielkim narodzie polskim, który Rosya, Austrya i Prusy między siebie podzieliły?

Po chwili zaś, widząc, że słowa jego nie pozostały bez wrażenia, mówił dalej:

— Polacy mieszkają na północ od Grecyi, a jest to liczny i potężny naród który bohater-skie staczał walki w obronie swojej niepodległości i z pewnością prędzej lub później ją odzyska.

W ten sposób przemawiał przez czas dłuższy, a będąc sam gorącym patryotą, dość trafnie oceniał nasze położenie i widocznie choćby dla analogii z niedawną przeszłością Grecyi, szczerze miał dla nas współczucie.

Byłem mu bardzo wdzięczny za te słowa uznania dla naszej przeszłości i wiary w naszą przyszłość i zdaje mi się, że dla każdego Polaka nader miło byłoby przekonać się, iż nawet w ta-

kich zapadłych kątach Elidy są ludzie, którzy wiedzą o nas i szczerą dla nas żywią sympatyę.

Odtąd rozmowa ożywiła się coraz bardziej. Chcąc się im odwzajemnić, mówiłem o heroicznych walkach Greków z Turkami, o ich wielkich nadziejach na przyszłość, a w końcu wzniosłem toast na cześć wyzwolenia Krety i w ogóle wszystkich ziem zamieszkałych przez Greków, z pod panowania tureckiego.

Było to z mej strony również małym bohaterstwem, gdyż wskutek tego musiałem do dna wychylić całą szklankę wina, zmieszanego z żywicą!

Stosunki między nami stawały się coraz serdeczniejsze. Nie wiem, czy było to skutkiem wina wypitego, lub też podobieństwa sytuacji politycznej Grecyi i Polski, jako też budzących się z tego powodu sympatyj — to jednak pewna, że ton gawędki naszej stawał się coraz poufalszym. Moi nowi znajomi opowiedzieli mi, że mieszkają stale w Pyrgos, że trudnią się drobnym handlem i że jeden z nich bawił przez czas dłuższy w Atenach. Ten ostatni do pewnego stopnia zajmował się nawet archeologią. Obydwom wielką sprawiłem przyjemność, przyznając, że Grecya pod względem zabytków historycznych stoi nierównie wyżej, niż Włochy i inne kraje europejskie. Następnie mówiliśmy o szczątkach świątyń i w ogóle budowli olimpijskich. Zadzi-

wiły mię wcale dokładne ich wiadomości pod tym względem i szczerę zajęcie, jakie okazywali dla wszelkich spraw tego rodzaju. O Schliemannie mówili z wielkiem uwielbieniem. Wiedzieli także o jego odkryciach w starożytnem Ilium, Orchomenos i Argolidzie.

Podczas tych rozmów mimowolnie przypominali mi się nasi małomieszczenie, biedni, ciemni i zdemoralizowani, obojętni na wszystko, co bezpośrednio nie dotyczy ich korzyści materialnych!

Tegoż dnia wieczorem wyjechałem z Olimpi, lecz długi czas jeszcze zostawałem pod wrażeniem tej pełnej uroku, iście czarującej doliny.



III.

Nauplia, Tiryns i Mikeny.

(*Życie i odkrycia Schliemanna. — Koleje greckie. — Cechy znamienne Argolidy. — Nauplia. — Uprzejmość Greków. — Teatr wędrowny. — Tiryns. — Znaczenie akropolis tamtejszej. — Droga do Miken. — Słowiański typ ludności. — Charvati. — „Skarbiec Atreusza.“ — Akropolis mikeńska. — „Agora“ i jej grobowce. — Pałac władców mikeńskich. — Ogólna cecha okolicy. — Argos.*)

Zdarzają się rzeczy tak dziwne, w tak wysokim stopniu nieprawdopodobne, iż gdyby się nie działy prawie w naszych oczach, uważalibyśmy je za mit fantastyczny, w zupełności lub przeważnie nie mający żadnej podstawy rzeczywistej.

Jednym z objawów tego rodzaju są odkrycia, a nawet całe życie Henryka Schliemanna. Od dzieciństwa było to jego marzeniem, odkopać Troję, Mikeny i w ogóle najstarsze ogniska cywilizacji greckiej, a myśl ta nie opuszczała go w najcięższych chwilach jego żywota i nawet wtedy była dlań gwiazdą przewodnią, kiedy stosunki jego niczem nie usprawiedliwiały tych śmiałych rojeń i nadziei.

Jako syn ubogiego pastora, zupełnie pozbawiony środków do życia i kształcenia się, spędził on swą młodość wśród nader smutnych warunków: naprzód był chłopcem, usługującym w handlu korzennym, później został służącym na okręcie, odbywającym podróże do Ameryki, a w końcu, po rozbiciu się tego statku, woźnym w kantorze bankowym w Amsterdamie. To ostatnie zajęcie już niemałym było dlań dobrodziejstwem, mógł bowiem przynajmniej kilka godzin dziennie oddawać się nauce. A zabrał się do niej tem żarliwiej, że oprócz tych marzeń o starożytnej Troi, przyświecała mu nadzieja połączenia się z ubogą dziewczyną, podobnie jak on, pełną zapału do studyów archeologicznych, w której zakochał się, jeszcze bawiąc w stronach rodzinnych.

W ten sposób minęły mu trzy lata. Płaca jego była nader skromna, a ponieważ połowę jej obracał na zakupno książek i tym podobne po-

trzeby, przeto i wówczas żył w nędzy. Mieszkał w małej izdebce na poddaszu, w której w zimie drżał od zimna, a w lecie omdlewał wskutek upałów. Na śniadanie jadał żytnią mąkę parzoną, na obiad wydawał 16 feników. W takich warunkach pracował z energią, istotnie godną podziwu. Przedewszystkiem wybornie wyuczył się po angielsku i po francusku, następnie niemniej gruntownie zapoznał się z językiem holenderskim, hiszpańskim, włoskim i portugalskim.

Wreszcie w marcu roku 1844 udało mu się korzystniejszą otrzymać posadę; wówczas to został buchalterem w wielkim domu handlowym. Nie uspiło to jego szalonej energii. Chcąc swoim chlebowodawcom jak najbardziej być użytecznym, zabrał się do nauki języka rosyjskiego i w krótkim czasie nieźle go sobie przyswoił.

Ta znajomość języków, obok niezwyklej sumiennosci w pełnieniu obowiązków, nader szczęśliwie sprowadziła dlań następstwa. W dwa lata później wysłano go do Petersburga i Moskwy, w ważnych sprawach handlowych. Z poleceń tych wywiązał się tak zręcznie, iż niebawem powierzono mu obowiązki generalnego przedstawiciela tegoż domu handlowego na całą Rosyę. Nowe to stanowisko zapewniło mu byt niezależny. Schliemann natychmiast skorzystał z tego i zgłosił się z prośbą o rękę owej ubogiej dziewczyny, o której marzył od dawna.

Niestety, uczynił to za późno, jego ukochana Minna była już żoną innego!

Zawód ten strasznie go przygnębił, jednak pozostało mu jeszcze drugie marzenie, które zmieniło się w głęboką wiarę, że prędzej lub później odkopie starożytną Troję i inne ogniska zamierzchłych dziejów greckich. Pracował więc dalej nad zdobyciem niezbędnych ku temu środków, a szczęście dziwnie sprzyjało mu pod tym względem.

Obok obowiązków, powierzonych mu przez ów dom amsterdamski, zajmował się on także handlem materiałów farbiarskich. Interesa jego rozwijały się tak pomyślnie, iż w kilku latach doszedł do bardzo znacznego majątku. Wprawdzie przez chwilę zdawało mu się, że wszystko utracił, jednak właśnie wypadek ten najlepiej świadczy, jak dziwnie los mu sprzyjał.

W październiku roku 1854 sprowadził do Kłajpedy ogromną ilość towarów, zakupioną za 150.000 talarów. Wkrótce po przybyciu jego statków do tego portu zupełnie zgorzała Kłajpeda, a olbrzymie jej magazyny stały się również pastwą płomieni. W pierwszej chwili sądzono, że i on został dotknięty tą klęską, wkrótce jednak okazało się, że wszystko spłonęło, oprócz szop, w których umieszczono towary Schliemanna. Sprzedał je bardzo korzystnie i tego roku jeszcze majątek swój podwoił.

Od dawna było to jego gorącym życzeniem, nauczyć się po grecku. Dotąd zajęcia nie pozwalały mu oddawać się poważniejszym studjom naukowym. Teraz jednak fortuna jego wzrosła już tak dalece, że nie brakło mu środków do osiągnięcia celu, który uważał za główne zadanie swojego życia. Z całym zapałem zabrał się więc znowu do nauki. Naprzód wyuczył się języka nowogreckiego, a następnie przez dwa lata studyował języki łaciński i starogrecki. * Chociaż gramatyki wcale się nie uczył, dzięki swej niezwykłej pamięci, doszedł w nich do takiej biegłości, a zwłaszcza w języku starogreckim, iż pisał i mówił nim płynnie i poprawnie.

Później dalekie odbywał podróże. W roku 1858 zwidził Szwecyę, Danię, Niemcy, Włochy i Egipt, w następnym roku Syryę część Grecyi i Azyę Mniejszą. Z końcem tegoż roku interesa zniewoliły go do powrotu do Petersburga i zabrały mu znowu parę lat życia. Wreszcie w roku 1863 uporządkował je ostatecznie; odtąd postanowił wyłącznie poświęcić się spełnieniu swych marzeń najgorętszych.

Chcąc uzupełnić swe wykształcenie, podróżował jeszcze przez lat kilka, od roku zaś 1866 stale osiadł w Paryżu i oddał się studjom archeologicznym.

Po takim przygotowaniu zwiedził w roku 1868 i 1869 Itakę, Tiryns i Mikeny, jako też zachodnio-północne wybrzeże Azyi Mniejszej, na którem niegdyś wznosiła się Troja starożytna, a w dwa lata później rozpoczął swoje długoletnie, nader mozolne poszukiwania archeologiczne. Badania te z godnym podziwu zapałem i wytrwałością prowadził aż do końca życia, a wyniki ich prześcignęły nawet najśmielsze jego nadzieje.

Do owego czasu było to prawie powszechnie przyjętem mniemaniem, że Troja, jeżeli w ogóle istniała, leżała na wzgórzu Burnabaszi. Wprawdzie nie zgadzał się z tem opis tego grodu, podany przez Homera, jednak na opowiadanie jego nie zwracali uwagi archeologowie, uważając je jako pozbawione wszelkiej podstawy historycznej i będące wyłącznie dziełem wyobraźni. Zupełnie inaczej sądził o tem Schliemann, który w Homera wierzył jak w ewangelię, a idąc za jego wskazówkami, wkrótce przyszedł do przekonania, że nie w Burnabaszi, lecz na wzgórzu Hissarlik należy szukać szczątków grodu Pryama. Tam też istotnie udało mu się odkopać ruiny pałaców trojańskich, olbrzymie mury, otaczające niegdyś tę warownię, ogromną ilość złotych i srebrnych przedmiotów, jaką w owych czasach można było znaleźć tylko w skarbcach władców potężnych. Co

zaś najdziwniejszą, że badania te prawie w zupełności usprawiedliwiły dziecienną niemal wiarę Schliemanna w prawdziwość opowieści Homera, tak co do szczegółów topograficznych, jak okoliczności, towarzyszących zburzeniu Troi; obecnie też kwestyę położenia starożytnego Ilion można uważać jako zupełnie rozstrzygniętą.

Jeszcze większą doniosłość mają odkrycia jego dokonane w Mikenach. Tutaj nie chodziło już o sprawdzenie tylko pewnej ilości szczegółów topograficznych, o nowe podstawy do ocenienia Iliady. Odkopanie starożytnej akropolis mikeńskiej odsłoniło nam świat całkiem nowy i dotąd najzupełniej nieznany, do owego czasu niedostępny dla nas okres z historyi sztuki i cywilizacji zamierzchłej. Wyniki tych badań są w tak wysokim stopniu zdumiewające, iż w Mikenach nie tylko archeologowie, ale nawet najzwyczajniejsi turyści doznają wrażeń arcywspaniałych stokrotnie wynagradzających im trudy, w wycieczce tej poniesione.

* * *

Obecnie najłatwiej zwiedzić Mikeny, udając się koleją do Nauplii, gdzie nietrudno o powóz do wioski Charvati, o parę kilometrów oddalonej od akropolis mikeńskiej. I ja obrałem tę drogę, jako z wielu powodów najdogodniejszą.

Dnia 13. lipca o godzinie 7. zrana wyjechałem z Aten, pociągiem idącym do Patras. Jest to najważniejsza ze wszystkich linii kolejowych greckich i bardzo słusznie słynąca z pięknych widoków. Obfituje w nie osobiwie część jej zachodnia, leżąca nad zatoką korynecką, chociaż i dalsza, położona za kanałem istmijskim, ma pewien wdzięk sobie właściwy. Oczywiście na skalistych wzgórzach Attyki nie ma niestety lasów pomarańczowych i cyprysowych, jak nad zatoką korynecką, ale i tu doliny są nieźle uprawne i nie brak w nich winnic i gajów oliwnych. Szczególnie piękne widoki odsłaniają się między Kalamaki a Eleusis, na zatokę sarońską, wyspy Salaminę i Eginę, jakoteż wschodnie wybrzeża Argolidy.

W Koryncie podróżni, udający się do południowego Peloponezu, opuszczają główną linię i przesiadają się na pociąg, idący do Nauplii i Trypolicy. Jeżeli najważniejsza z arterij kolejowych greckich tylko do pewnego stopnia odpowiada europejskim pod tym względem pojęciom, jeszcze skromniej przedstawiają się linie boczne, jak np. argolska, albo łącząca Patras z Olimpią. Dworce ich są nadzwyczaj małe, ramp i budek kolejowych prawie nie ma, a ponieważ pociągi dość często przejeżdżają przez drogi i ścieżki, przeto jadą zwolna, lokomotywa zaś przeciągłym świstem nieustannie niemal ostrze-

ga przejezdnych o grożącym im niebezpieczeństwie. Na stacyach zatrzymują się prawie dowolnie, a o takie drobnostki, jak spóźnienie się pociągu, wcale się nie troszczą ani urzędnicy kolejowi, ani maszyniści.

O kilka kilometrów na południe od Koryntu, zupełnie zmienia się krajobraz. Kolej wije się naprzód pomiędzy górami północnej Argolidy, a następnie schodzi na dolinę rzeki Inachus. Pomimo podobnej konfiguracyi terenu, widoki tamtejsze zupełnie są odmiennie, od okolic zachodniej Achai i Elidy. W zachodniej Grecyi bowiem obfitość deszczów nierównie jest większa, niż na wschodnich wybrzeżach. Wskutek tego na zachodzie nie tylko doliny, ale i wzgórza je otaczające okryte są nader bujną roślinnością. Przeciwnie w Argolidzie, tylko w dolinach widzimy plantacye wina, tytoniu i bawełny, na górach zaś, prawie całkiem nagich i spalonych, gdzie-niegdzie tylko liche znajdują się pastwiska.

W starożytnem Argos, obecnie małej, ale wcale ożywionej miejscinie, rozdziela się kolej na dwie gałęzie, z tych jedna prowadzi do Nauplii, druga zaś do Trypolicy, a ma być przedłużoną aż do Sparty i Kalamaty.

Nauplia po Atenach i Korfu bardzo słusznie słynie jako najpiękniejsze z miast greckich. Zupełnie zabudowana wysokimi kamienicami i wielce ożywiona, sprawia wrażenie prawie miasta

euuropejskiego. Nie wielki wprawdzie, ale wyborny port, głęboki i doskonale obwarowany, uczynił ją jednym z pierwszych ognisk ruchu handlowego w Grecyi. Jest to zarazem jedna z najznacniejszych twierdz greckich. Całe miasto dokoła otoczone murem lub oblانة wodą; szczególnie imponująco przedstawiają się dwie cytadele na wzgórzach Jecz-Kale i Palamidi, potężnie obwarowane za panowania Rzeczypospolitej weneckiej i dotąd herbami jej ozdobione.

Jakkolwiek Nauplia jest jedną z najdawniejszych osad w Grecyi, wcale nie ma w niej zabytków z czasów klasycznej starożytności. Największą osobliwością są niezrównanej piękności widoki, odsłaniające się ze wzgórz okolicznych. To też stanawszy w hotelu, pomimo wielkiego upału, natychmiast wybrałem się na najbliższe z nich, t. j. na Jecz Kale.

Dawną twierdzę tamtejszą zamieniono obecnie na więzienie i koszary wojskowe. Wstęp właściwie jest wzbroniony. Na szczęście spotkałem jednego z podoficerów, który umiał nieco po włosku. Kiedy mu wytłómaczyłem, że jestem turystą i że chciałbym tylko nasycić się cudownym widokiem, roztaczającym się ze szczytu góry, nie robiono mi dalszych trudności. Ów podoficer był nawet tak uprzejmy, że przyrzekł mi przysłać nazajutrz pozwolenie ko-

mendanta do zwiedzenia drugiej warowni na wzgórzu Palamidi.

Widoki z Jcz-Kale wcale nie zawiodły moich nadziei. Szczególnie uderzała mię nadzwyczajna ich rozmaitość. Od północy roztacza się prześliczna dolina argolska, a oko sięga daleko, bo aż do wzgórz mikeńskich. Ze strony południowej widać groźnie rysującą się twierdzę Palamidi i stoki jej porośłe kaktusami, dalej zatokę argolską z wyspą Spetzia, wreszcie góry Lakonii i Arkadyi. W świetle zachodzącego słońca dziwnie uroczo przedstawiała się ta część istotnie boskiej Hellady!

Nazajutrz z rana postanowiłem wybrać się do Tirynsu, Miken i Argos, należało zatem wcześniej zamówić powóz i odpowiednie zapasy żywności. Wróciłem więc do hotelu, a ponieważ moja znajomość języka greckiego wcale nie wystarczała, ażeby ze służbą w tej sprawie się porozumieć, przeto oświadczyłem jej, że chciałbym pomówić z samym właścicielem zajazdu.

Po chwili wszedł do mojego pokoju męszczyzna w średnim wieku, niski, krępy, o czarnym zarostcie, oczach żywych i dobrodusznym uśmiechu, wraz z młodym człowiekiem, zaledwie dwudziestokilkoletnim, ubranym starannie i widocznie należącym do zamożniejszych warstw społeczeństwa. Ten ostatni oświadczył mi po francusku, że ponieważ towarzysz jego będący właści-

cielem hotelu, nie włada dostatecznie tym językiem, przeto on jako tłumacz, przyszedł ofiarować mi swoje usługi. Oczywiście, najchętniej przyjąłem jego propozycję i najserdeczniej podziękowałem za jego uprzejmość. Dzięki też jego pośrednictwu bardzo szybko załatwiliśmy sprawę moich przygotowań do jutrzejszej wycieczki, poczem wszyscy trzej wyszliśmy razem.

Mój nowy znajomy p. Z. mieszka wprawdzie przeważnie w Egipcie, jednak jako Grek i na ziemi greckiej, poczuwał się względem mnie do obowiązków gospodarza. Bardzo szczerze też starał się uprzejmnie mi pobyt mój w Nauplii. Naprzód chciał nająć kaik i urządzić dla mnie małą przejażdżkę po morzu, a kiedy wymówiłem się od tego, tłumacząc zbliżaniem się pory obiadowej, musiałem przynajmniej udać się z nim do kawiarni, gdzie raczyliśmy się chłodnikami, a następnie wybornym likierem greckim, zwanym *raki*.

W Grecyi, w lepszych restauracyach wszędzie przyjęto zwyczaj francuskie, z tą jednak różnicą, że w lecie podają obiad dopiero późnym wieczorem, kiedy nastąpiło już pewne obniżenie temperatury. Po zachodzie słońca i my więc wróciliśmy w tym celu do naszego zajazdu.

W Nauplii wszystkie na sposób europejski urządzone hotele, kawiarnie i tym podobne zakłady znajdują się przy wielkim placu, położo-

nym w samym środku miasta. W porze letniej — nie w lokalach tych, lecz przed niemi na wolnem powietrzu i w cieniu platanów, wszyscy zasiadają do stołu, co oczywiście jest rzeczą bardzo miłą i higieniczną.

Przy obiedzie poznałem się z ojcem pana Z. Jest to człowiek przeszło sześćdziesięcioletni i niepospolitą odznaczający się inteligencją. Przez czas dłuższy piastował wysoki urząd w Atenach, obecnie zaś jest naczelnikiem wielkiego domu handlowego w Aleksandryi (w Egipcie), a nadto posiada rozległe dobra w Peloponezie. P. Z., jak prawie wszyscy Grecy z warstw zamożniejszych, wiele podróżował. Przed 30 laty przez parę dni bawił także we Lwowie, a następnie pocztą pojechał do Bukaresztu. Patryarchalne stosunki nasze — jak się wyraził — miłe sprawiły na nim wrażenie. Ze wspomnień jego o Lwowie oczywiście prawie wszystkie zatarły się po tak długim przeciągu czasu, pamiętał jednak, że bawiąc w naszym mieście, był w jakimś wielkim parku na wysokiej górze, z kąd prześliczne i bardzo rozległe odsłaniały się widoki. Parkiem tym niewątpliwie był nasz Wysoki Zamek.

Po obiedzie wraz z obydwojma pp. Z. przechadzałem się nad brzegiem morza. Rozmowa ze starszym z nich szczególnie mię zajmowała. Znał on wybornie stosunki greckie, a jakkolwiek sądził je trzeźwo i chłodno i wcale nie

był „Palikarem,” to jednak w każdym zdaniu jego przebijała się gorąca miłość ojczyzny i głęboka wiara w przyszłość swojego narodu.

O tej porze brzeg morza w Nauplii przepelniony jest tłumami publiczności. Po dniu upalnym wszyscy niemal przechadzają się po wybrzeżu, albo też udają się do kawiarni, nad morzem położonych.

Osobliwie koło jednej z nich tłumnie zbierała się publiczność. Wkrótce bowiem miało się w niej odbyć przedstawienie trupy wędrownej, która właśnie tego dnia przybyła do Nauplii.

W kilku godzinach ustawiono scenę przenośną, niewielką wprawdzie, ale zaopatrzoną nawet w dość liczne dekoracje. O godzinie 10. wieczorem rozpoczęło się przedstawienie. Widzowie przedtem już zajęli miejsca na wolnem powietrzu przed kawiarnią, gdzie chłodząc się lodami lub popijając czarną kawę, z niecierpliwością oczekiwali podniesienia zasłony. I my znaleźliśmy się w ich gronie, pp. Z. zapewne w braku lepszej rozrywki, a ja ponieważ pragnąłem zapoznać się z widowiskami tego rodzaju.

Przedstawienie rozpoczęło się od pantominy, w której bohaterka, chcąc wypróbować swych wielbicieli, udawała umarłą. Na środku sceny ustawiono katafalk i złożono ją na nim, przybraną w suknię białą i wieniec mirtowy. Po chwili zaczęli się schodzić jej wielbiciele; każdy z nich

zachowywał się stosownie do szczerości i stopnia swych uczuć. Między dwoma odgrywały się arcykomiczne sceny zazdrości. Postępowaniu ich najuważniej przypatrywała się udająca ciągle nieżywą bohaterka, a przekonawszy się, który z nich najszczerzej ją kochał, powstała z katafalku i oddała mu swą rękę. Publiczność z największym zajęciem przypatrywała się tej niesmacznej farsie, a w końcu przeciągniętymi oklaskami nagrodziła „artystów.“

Po dłuższej pauzie znowu podniosła się zasłona. Tym razem raczono nas sztukami gimnastycznymi. Pomiedzy akrobatami odznaczała się mała, mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka, o rysach dziwnie pięknych i niezwyklej zręczności. Produkcyje jej wywoływały szalony zapal publiczności, a kiedy zeszła ze sceny i krążąc między widzami, zbierała skromne datki, niektórzy z nich ściskali ją serdecznie i większe ofiarowali jej kwoty.

Nastąpiła teraz najpoważniejsza część programu, a mianowicie komedyjka, przedstawiająca sceny z życia wojskowego. Bohaterem jej był młody rekrut, bardzo sprytny, ale wcale nie mający chęci do służby wojskowej. Starał on się od niej uwolnić, udając zupełnie niepojętnego i nie mogącego zrozumieć udzielanych mu poleceń. Wynikały ztąd przeróżne nader komiczne zajścia między nim, a przełożonym jego, kapra-

lem, odznaczającym się przesadną służbistością. W końcu godzi się rekrut z swoim losem, a nieporozumienia z przelożonym usuwa siostra jego, bardzo ładna dziewczyna, w której tymczasem zakochał się młody żołnierz. Jak widzimy, i ta część przedstawienia mogła zaspokoić tylko najskromniejsze wymagania artystyczne.

Na zakończenie dawano tańce i śpiewy narodowe, te ostatnie były dość dzikie i wcale monotonne.

* * *

Nazajutrz o godzinie 7. z rana wyjechałem z Nauplii i udałem się naprzód do Tirynsu. Minawszy wspaniałą bramę forteczną i most zwodzony, jechaliśmy dość porządnie zbudowanym gościńcem, z obudwu stron wysadzonym drzewami. Droga ta ciągnie się wzdłuż linii kolejowej, wśród okolicy wielce urozmaiconej; po lewej stronie mieliśmy zatokę argolską, po prawej parę kapliczek na cześć świętych greckich, jako też dość liczne wille i domki pomniejszych.

Mniej więcej w odległości czterech kilometrów od Nauplii, przed skromną gospodą, zatrzymał się mój woźnica i powiedział, że stanęliśmy u stóp akropolis tiryńskiej. Równocześnie pra-

wie pojawił się przed moim powozem męszczyzna w średnim wieku, ubogo wprowadzie ale porządnie ubrany i oświadczył mi, że jest dozorcą zabytków starożytności i że może mi służyć za przewodnika. Najchętniej przyjąłem jego propozycję; bezzwłocznie też zeszedliśmy z gościńca i małą ścieżką polową udaliśmy się ku ruinom.

Na pierwszy rzut oka nie sprawiają one wielkiego wrażenia, słynna bowiem akropolis tiryńska wznosiła się na dość niskiem wzgórzu, w miejscach najwyższych mającem zaledwie 18 metrów wysokości. Zwaliska te zdawały też wcale nawet nie zwracać uwagi, tem bardziej, że w znacznej części pokryte są gruzami i nader bujną roślinnością. Jednak już w starożytności szeroką zjednały sobie sławę, a Pauzaniusz porównywał je z najznakomitszymi zabytkami architektury.

Do niedawna atoli nie wiele o nich wiadomo. Turyści podziwiali więc tylko t. zw. mury cyklopskie, otaczające niegdyś tę warownię, a zbudowane z olbrzymich głazów i jak dotąd prawie sądzono, niczem nie spojonych. Dopiero poszukiwania Schliemanna nowe światło rzuciły na akropolis tiryńską i wykazały wielkie jej znaczenie dla studyów archeologicznych.

Badania te podjął on razem z architektem drem Dörpfeldem i bardzo gorliwie prowadził je w r. 1884 i 1885.

Nic lepiej nie maluje zapału, z jakim oddawał się im ten badacz nieustrudzony, jak własne jego słowa, które podajemy poniżej:

„W owych czasach“ — pisze Schliemann w wstępie do dzieła p. t. „Tiryns“ — „zwykle wstawałem przed 4-tą z rana, a zażywszy cztery gramy chininy, aby się uchronić od febry, udawałem się do kąpieli. W tym celu w porcie (w Nauplii) czekała już na mnie łódka, którą płynąłem na pełne morze, gdzie kapałem się przez dziesięć minut. Wróciwszy do miasta, w kawiarni „pod królem Agamemnonem“ wypilem filiżankę gorzkiej czarnej kawy, poczem konno jechałem do Tirynsu, dokąd przybywałem zawsze przed wschodem słońca. Bezzwłocznie odsyłałem mojego wierzchowca do Nauplii, aby i p. dr. Dörpfeld mógł również na nim przyjechać“.

„Śniadanie nasze, które jedliśmy o godzinie 8. z rana, podczas pierwszego wypoczynku robotników, składało się z kawałka mięsa solonego, chleba, sera, kilku pomarańcz i wina zmieszanego z żywicą. O godzinie 12. w południe, podczas następnej przerwy w robotach — która zrazu trwała godzinę, a później podczas wielkich upałów, przedłużała się nawet do dwóch godzin — i my wypoczywaliśmy; za węzłowie służyły nam dwa kamienie w południowej części zamku.“

„Nigdy lepiej się nie śpi, jak po wielkiem znużeniu przy pracy i mogę upewnić moich czytelników, że nigdy nie doznawałem snu bardziej pokrzepiającego, jak w owych godzinach południowych na akropolis tiryńckiej — pomimo twardego posłania i słońca palącego, przed którem osłaniały nas tylko nasze kapelusze.“

„Drugi i ostatni posiłek spożywaliśmy dopiero wieczorem, wróciwszy do Nauplii, w nader skromnej restauracyi naszego hotelu.“

Takie życie całemi miesiącami prowadził ten pan milionowej fortuny, a co ważniejsza, człowiek już w podeszłym wieku, bo przeszło sześćdziesięcioletni. Dzięki też tylko takiemu zapałowi Schliemann i jego niezwyklej ofiarności, można było poznać świat do niedawna zupełnie nam niedostępny, cały okres zamierzchłych dziejów greckich, który dotąd znaliśmy tylko z mitów i podań niepewnych. Co zaś najdziwniejsza, że wyniki tych poszukiwań znowu usprawiedliwiły jego wiarę w prawdziwość opowieści Homera, a mianowicie w dokładność jego opisów ówczesnych zamków królewskich. W sposób najzupełniej przekonujący stwierdziło to odkopanie Tirynsu, gdzie szczątki tych odwiecznych budowli daleko lepiej zachowały się, niż np. w Troi i Mikenach — i dla tego to tak wielką doniosłość dla nauki ma bliższe zbadanie akropolis tiryńckiej.

Główne wejście do zamku było od strony wschodnio południowej. Tędy też dostaliśmy się w obręb jego murów obwodowych i obeszliśmy je dokoła.

Mury te, wzniesiono na skale, będącej podstawą tego wzgórza, a wybudowano je z brył tak olbrzymich, iż w st- rożytności sądzono, że nie były one dziełem rąk ludzkich. Według podania, król Proitos sprowadził Cyklopów z Likii i używał ich do robót przy budowie zamku. Tegoż zdania był także Pauzanasz, a w mniemaniu tem utwierdzały go ogromne rozmiary tych głazów. Niektóre z nich bowiem są tak wielkie, iż mają jeden metr grubości i wysokości, a dwa do trzech metrów długości.

Do niedawna powszechnie twierdzono, że mury te składały się z kamieni wcale nie obrobionych, że ułożono je nieregularnie i że niczem nie były spojone. Dokładniejsze jednak badania wykazały, że głazy te są z lekka ociosane, że układano je w warstwach dość regularnych i że gliny używano jako cementu. Dr. Dörpfeld udowodnił nawet, że kamienie do tej budowy sprowadzano z wzgórz nieco dalej na południe położonych i wyjaśnił, w jaki sposób je wydobywano.

Jeszcze bardziej zdumiewającą jest szerokość tych obwarowań, która zwykle wynosi siedm do ośmiu metrów, gdzie niegdzie jednak dochodzi aż do siedmnastu i pół metra.

Wewnątrz murów obwodowych urządzono cysterny i piwnice, te ostatnie prawdopodobnie przeznaczone na składy żywności, a nadto długie i szerokie galerye, osobnemi wschodami połączone z podwórzem zamkowym. W południowej części bardzo dobrze zachowały się dwa z takich kurytarzy podziemnych.

Po obejrzeniu murów, otaczających niegdyś tę warownię, czekały nas zabytki najważniejsze i istotnie niepospolitą mające doniosłość dla poznania tych czasów zamierzchłych.

Akropolis tiryńska składała się z dwóch nierównych części; z tych mniejsza północna, dotąd dokładnie nie zbadana, zawierała stajnie i mieszkania dla załogi i niewolników, w większej zaś południowej były pałace królewskie. Te ostatnie w zupełności już zostały odkopane i one to właśnie tak wiele światła rzuciły na życie władców ówczesnych.

W południowo-wschodniej stronie zamku była wspaniała brama, prowadząca do wielkiego podwórza, otoczonego portykiem. Tutaj przebywała straż królewska, która strzegła wejścia do pałacu, a zarazem owych magazynów, w murach obwodowych umieszczonych. Z podwórza wchodziło się drugą bramą, nie mniej wspaniałą kolumnami ozdobioną, do obszernego atrium, również otoczonego kolumnami. W atrium, na prawo od bramy, wznosił się ołtarz, na którym

król jako kapłan najwyższy składał bogom ofiary. Naprzeciw ołtarza było wejście do wielkiej sali, stanowiącej główne mieszkanie królewskie. Była to budowa prostokątna, pop-zedzona perystylem i przedsionkiem. Z przedsionka wchodziło się do właściwego mieszkania, gdzie w środku znajdowało się wielkie ognisko, otoczone czterema kolumnami, podtrzymującemi wiązania stropu. W środku płaskiego dachu był otwór, którym wpadało światło do sali i ulatywał dym z ogniska. Prawdopodobnie po nad tym otworem i nieco nad nim wzniesiony był mały daszek, dla osłony od deszczu.

Tak sala ta, jak atrium, przepysznie było ozdobione. Posadzkę pokrywała mozaika, na ścianach były freski, przedstawiające sceny z polowania, jako też przeróżne potwory mityczne, kolumny lśniły się od alabastru i ozdób przeróżnych.

W sali tej koło ogniska skupiało się życie całego dworu. Tutaj zbierała się rodzina władcy i jego domownicy, tu przyjmowano gości i odbywały się biesiady.

Po lewej stronie, obok sali królewskiej, była łazienka, po prawej zaś *gineceum*, czyli mieszkanie dla niewiast. Była to izba podobnie urządzona, jak poprzednia, tylko znacznie od niej mniejsza. Osobny kurytarzyk łączył ją z salą królewską. Resztę zamku zajmowały różne po-

mniejsze budowle, przeznaczone na składy i mieszkania dla służby i niewolników.

Wszystkie te szczegóły najdokładnej stwierdzają wierność opisów, podanych przez Homera.

W zamkach władców przezeń opiewanych oddzielnie mieszkali mężczyźni i kobiety. W środku ich mieszkań umieszczone były ogniska. Królowe przedły oparte o kolumny, podtrzymujące wiązanie dachu. Podwórza otoczone były kolumnadą. Przed wejściem do pałacu znajdowały się ołtarze, na których królowie składali bogom ofiary. A jeżeli niektóre szczegóły są nieco odmiennie, żaden z nich nie zostaje w rażącej sprzeczności z urządzeniem pałaców tiryńskich. Tak więc zwiedzając je, dotykamy się niemal tej przeszłości, którą od najmłodszego wieku przywykliśmy widzieć otoczoną aureolą poezyi, a której może właśnie dla tego, a poniekąd w skutek opinij, do niedawna panujących w świecie naukowym, nie uważaliśmy jako istniejącą kiedyś w rzeczywistości.

Pod tak dziwnem wrażeniem opuściłem akropolis tiryńską i pojechałem do Miken.

Zwykle turyści naprzód udają się do Argos, a potem dopiero do ruin przesławnego grodu Agamemnona. Z powodu jednak wielkiego upału zmieniłem plan mojej wycieczki i postanowiłem zwiedzić je przed najgorętszą porą połu-

dniową. W tym celu wkrótce zjechaliśmy z bitego gościńca i wąską drogą połową zdążaliśmy do wioski Charvati, położonej u stóp wzgórz mikońskich.

Równina argolska bardzo słusznie słynie z powodu swej wielkiej urodzajności. Przejeżdżaliśmy przez śliczne winnice i wybornie uprawne pola kukurudzy, tytoniu i bawełny. Pomimo tej żyzności gleby, lud jednak dziwnie jest ubogi, a wioski zdradzają niechlujstwo i zaniedbanie. Co zaś najciekawsza, że mieszkańcy sprawiają wrażenie jakby ludności czysto słowiańskiej. Twarze okrągłe, nieco wystające kości policzkowe, oczy siwe, włos płowy, sumiaste wąsy, budowa ciała silna i krępa — oto ich rysy charakterystyczne, nader żywo przypominające włóścian naszych. Niekiedy podobieństwo jest tak uderzające, iż nieraz w naszym języku chciałem do nich przemówić. Widocznie równina argolska jest jedną z tych okolic, w których Słowianie zupełnie wyparli dawniejszych mieszkańców i prawie w pierwotnej czystości zachowali typ swój plemienny.

Jak wiadomo, w wieku VIII. po Chrystusie tłumnie napływały do Grecyi plemiona słowiańskie. Działo się to szczególnie od połowy tego stulecia, kiedy straszliwa zaraza spustoszyła państwo bizantyńskie. Skutki jej były tak okropne, iż całe okolice w zupełne zamieniły się pustkowiem. Chcąc zapłacić ten ubytek ludno-

ści, pozwalały władze bizantyńskie osiedlać się w Grecyi Słowianom i wówczas to kolonizacja słowiańska w starożytnej Helladzie olbrzymie przybrała rozmiary. Osobliwie tłumnie osiedlili się Słowianie w Elidzie, Messenii, Lakonii i Argolidzie. Zajęli oni wszystkie niemal okolice żyzne i przydatne do uprawy, podczas gdy Grecy cofnęli się do większych miast i miasteczek.

Jakkolwiek Słowianie nie przybyli do Grecyi jako zdobywcy, to jednak liczbą swą stali się wkrótce tak potężni, iż zapragnęli cały ten kraj opanować. Nie tylko więc odmawiali posłuszeństwa władzom greckim, ale nadto usiłowali zająć porty i miasta warowne i oddzielne państwo utworzyć, na gruzach cesarstwa bizantyńskiego. Niebawem rozpoczęły się z nimi długie i zacięte walki, a cesarze bizantyńscy musieli do Grecyi nader liczne podejmować wyprawy wojenne, gdyż miejscowa ludność grecka wcale nie zdołałaby im się oprzeć. Zapasy te trwały aż do połowy IX. wieku i dopiero wówczas udało się Grekom złamać tych śmiałych przybyszów. Nawrócenie do religii chrześcijańskiej ułatwiło zlanie ich z ludnością miejscową i ostateczne zwycięstwo języka greckiego. W wielu okolicach jednak tak wyraźnie zachował się typ słowiański, iż ciekawą rzeczą byłoby zbadać, czy w niektórych zapadłych ką-

tach mieszkańcy ich nie mówią jeszcze swym pierwotnym językiem.

Wśród takich rozmyślań dojechałem do wioski Charvati, podobnie jak sąsiednie, brudnej i zaniedbanej. Przy końcu tej osady znajduje się domek nieco porządniejszy od innych; jest to mieszkanie dozorca ruin mikeńskich. Tutaj zatrzymał się mój woźnica, a ja wysiadłszy z powozu, natychmiast udałem się ku wzgórzom, na których rozsiadł się niegdyś potężny gród Agamemnona.

Przewodnik mój zaprowadził mnie przede wszystkim do słynnego grobowca, do niedawna mylnie uważanego jako skarbiec Atreusza. Po półgodzinnym prawie, nader uciążliwym marszu, bo ciągle niemal wspinaliśmy się dość stromą ścieżką, stanęliśmy wobec tej dziwnej budowy, jakby wewnątrz wzgórza umieszczonej.

Jest to wielka sala okrągła, o średnicy piętnastu metrów i takiejże wysokości. Słupie nie jej ma kształt ulla, a utworzono je w ten sposób, iż na ścianach pionowych ułożono 33 warstw kamieni, coraz bardziej na wewnątrz wystających. U góry zamyka je jedna wielka płyta. Sala ta sprawia nadzwyczaj imponujące wrażenie. Poprzedza ją długi kurytarz, wybudowany z wielkich głazów, do siebie przystających i w regularnych warstwach ułożonych. U wejścia były dwie kolumny z szarego

alabastru, a nad niemi wielka płyta trójkątna z czerwonego porfiru.

Na prawo od wielkiej sali wchodzi się do drugiej, znacznie mniejszej i czworokątnej wykutej w skale. Ta ostatnia była właściwym grobowcem, podczas gdy pierwsza raczej świątynią, wzniesioną na cześć osób tamże pochowanych.

Nie ulega wątpliwości, że tak właściwy grobowiec, jak świątynia go poprzedzająca, wspa- niale były przyozdobione, jednak z ozdób tych niestety tylko nieznaczne zachowały się szczątki. Grobowiec ten bowiem nigdy w zupełności nie został zasypany a ponieważ według mniemania ludu okolicznego pochowano w nim słynnego z bogactw króla Agamemnona, a według twierdzenia Pauzanasza miał to być skarbiec Atreusza — przeto nieraz zapewne padał ofiarą chciwych zysku świętokradzców.

Ostatnim z tych łupieżców był wielkorządca Peloponezu Veli basza. Według podania, przybył do niego w r. 1808 pewien Turek z Nauplii i oznajmił mu, że w t. zw. grobowcu Agamemnona bardzo znaczne skarby są ukryte. Veli basza natychmiast wydał polecenie odkopania grobowca. Wówczas to miano w nim znaleźć wielką ilość szkieletów, mnóstwo złotych ozdób, stół marmurowy i olbrzymich rozmiarów łańcuch z brązu. Przedmioty te miał sprzedać wielkorządca Peloponezu za 20.000 franków.

Dziś oczywiście niepodobna już rozstrzygnąć, ile jest prawdy w tem opowiadaniu, to jednak pewna, że pierwotnie całe wnętrze tej budowy okrywały płyty rzeźbione z alabastru lub bronzu, jako też przeróżne inne ozdoby.

Nieco dalej na północ znajduje się jeszcze pięć innych grobowców tego rodzaju. Jeden z nich odkopła małżonka Schliemanna. Jest on trochę mniejszy od powyżej opisanego, a zresztą tak rozkładem, jak sposobem budowy zupełnie doń podobny.

Obecnie żadnych już nie mamy wątpliwości, jakie było przeznaczenie tych budowli. Oprócz mikeńskich bowiem, odkryto w Grecyi jeszcze pięć innych tego rodzaju pomników. Niektóre z nich zupełnie dotąd były nietknięte i one to właśnie służą za dowód, że nie były to skarbcce — jak mylnie twierdził Pauzaniasz — lecz grobowce królów i książąt, lub w ogóle osób znakomitych, pochodzące z najstarszej doby dziejów greckich.

W pobliżu grobowca, odkopanego przez małżonkę Schliemanna, znajduje się główne wejście do akropolis mikeńskiej.

Zamek ten miał kształt trójkąta nieregularnego. Dokoła otaczały go mury, które porównane z tiryneckimi, świadczą o pewnym postępie techniki budowniczej. Wprawdzie część najstarsza niewiele od nich się różni, jednak do budowy innych, niewątpliwie późniejszych, używano

kamieni, starannie ociosanych i dokładnie do siebie przystających. Grubość muru wynosi zwykle trzy do siedmiu metrów i tylko w niektórych miejscach dochodziła pierwotnie do czterestu metrów. Prawdopodobnie znajdowały się tu piwnice i galerye podziemne, jak w Tirynsie.

Położenie zamku było nader warowne, oprócz murów bowiem i wież, z trzech stron broniły go głębokie parowy, tak iż tylko od zachodu, t. j. od miasta, przystęp doń był nieco łatwiejszy.

Dwa wejścia prowadziły do akropolis mikeńskiej, jedno z nich mniejsze od strony wschodnio-północnej, drugie główne od północno-zachodniej. Obydwa poprzedzały dość długie kurytarze, które wielce ułatwiały obronę warowni. Nieprzyjaciel bowiem, przypuszczający szturm do bram zamkowych, musiał przedewszystkiem przebyć owe kurytarze, gdzie z dwóch stron narażony był na pociski obrońców.

Główne wejście, mające trzy metry szerokości, zbudowane jest z trzech olbrzymich głazów. Ponad niem, na tarczy trójkątastej, znajduje się owa słynna rzeźba, przedstawiająca dwie lvice, wspinające się na tylnych łapkach, a przedniemi oparte o dwa w pośrodku umieszczone ołtarze, nad którymi wznosi się kolumna o dość dziwnych kształtach. Dotąd nie wiadomo, jakie jest znaczenie tej tarczy, czy była one tylko znakiem

symbolicznym, czy też herbem władców mikeńskich.

Minąwszy „lwią bramę“, wkrótce spostrzegłem niewielką, nieco podłużną terasę, mającą mniej więcej 25 metrów średnicy i dokoła otoczoną dwoma rzędami pionowo wznoszących się płyt kamiennych. Niegdyś przestrzeń, dzielącą obydwie te rzędy, wypełniona było ziemią, a z wierzcha pokrywały ją również wielkie płaskie kamienie. Od strony północnej jest przerwa w obydwóch szeregach tych płyt, która niewątpliwie była wejściem na terasę. Schliemann uważał ją jako mikeńską *agorę*, w której według słów Homera, na radę i sądy

. starszyzna

W gronie poważnem zasiadała, na wygładzonych kamieniach.

Przypuszczenie to nie znalazło jednak ogólnego uznania. Prawdopodobniej też ów pierścień kamienny, otaczający dokoła terasę, był murem obwodowym cmentarza władców tamtejszych. Właśnie w tem miejscu bowiem odkopano owe słynne groby, zawierające ogromną ilość przedmiotów ze złota i srebra, któremi dosłownie prawie zasypane były skielety osób tamże pochowanych.

Schliemann odkrył pięć z tych grobowców, szósty został odkopany staraniem ateńskiego Towarzystwa archeologicznego. Ilość zabytków

w nich znalezionych jest istotnie zdumiewającą, liczy się bowiem na tysiące. A są to nie tylko przeróżne ozdoby ze złota i srebra, jak szpilki, naszyjniki, przepaski do włosów, pierścienie itp., ale nadto mnóstwo przedmiotów z brązu, miedzi, szkła, kości słoniowej, alabastru, a nawet z drzewa, do najrozmaitszego służących użytku. Liczba ich jest tak wielka iż wykopaliska te bardzo wiele światła rzuciły na życie tej zamierzchłej epoki, a odkopane tych grobowców, należy do najdonioślejszych odkryć archeologicznych.

Na północny wschód od tego cmentarzyska, na wzgórzu znacznie ponad niem wzniesionem, znajdował się niegdyś pałac władców mikeńskich. Rozkład poszczególnych jego części, nader żywo przypomina budowlę tego rodzaju w Tirynsie. Dookoła otaczały je mury, które minawszy, po dwudziestu stopniach weszliśmy na podwórze, a stamtąd do atrium, poprzedzającego główne mieszkanie królewskie. Podobnie, jak w Tirynsie, była to wielka budowla prostokątna, składająca się z perystylu, przedsionka i wielkiej sali, w której na środku znajdowało się ognisko, otoczone kolumnami, podtrzymującemi wiażanie dachu. Tak w sali tej, jak w atrium, podłogę pokrywała mozaika, na ścianach były freski, przedstawiające zwierzęta rozmaite, lub sceny z życia ówczesnego. Po drugiej stronie atrium było *gine-*

ceum, a za niem mieszkania dla służby i niewolników.

Wyszedszy z pałacu królewskiego, zatrzymałem się na chwilę na szczycie tego wzgórza. Widok, jaki się stamtąd odsłania, nad wszelki wyraz smutny jest i ponury. Z trzech stron otaczają je dzikie parowy, a dalej wysokie góry, zupełnie nagie i spalone. Nader przykre wrażenie tej okolicy dziwnie też zgadza się z wspomnieniami, jakie nasuwają się zwiedzającym ten prastary gród Pelopidów, niegdyś jak wiadomo, istny przybytek występków i zbrodni potwornych. Wrażenie to jest tak silne, iż nawet z pewnem zadowoleniem opuszcza się ten zamek odwieczny, nad którym jakby zawisła jeszcze tradycja dzikich namiętności i mordów podstępnych.

Wróciwszy z akropolis mikeńskiej, z powodu wielkiego upału, kilka godzin zatzymałem się w wiosce Charvati. Spędziłem je w domku dozorczy ruin, który na niewielkiem piąterku ma dość schludną izbę, zwykle niezamieszkałą i za pewnem wynagrodzeniem odstępuje ją turystom. Chętnie też raczy ich wodą źródlaną, bo zresztą niczego nie możnaby dostać w tej nędznej osadzie.

Odpocząwszy nieco, zajrzałem do koszyka, który wcale obficie zaopatrzył gospodarz hotelu mojego w Nauplii. Z wdzięcznością też skorzy-

stałem z tych zapasów, zwłaszcza po grozą przejmujących wrażeniach, doznanych wśród ruin mikeńskich. Na szczęście okna mojej izdebki wychodziły na południowy zachód, na zachwycającą dolinę argolską. Wśród rozkosznej zieleni rysowało się starożytne Argos, dalej zaś góry Arkadii. Chłodny powiew od morza przynosił balsamiczną woń bujnej roślinności południowej a głęboka cisza dziwnie usposabiała do marzeń. Z przyjemnością napawałem się tym widokiem, niekiedy tylko jakby sen jaki, przypominały mi się zwaliska mikeńskie i tragiczne losy potężnych władców tego grodu.

O godzinie 5. wieczorem opuściłem Charvati. Przejeżdżaliśmy znowu przez winnice i pola dobrze uprawne, a minawszy dwie prawie zupełnie wyschnięte rzeczki Inachos i Charadros, w niespełną godzinę stanęliśmy w Argos.

Jest to obecnie wcale ożywiona i nieźle zabudowana miejscina, w której przechowały się ruiny starożytnego teatru i na wysokiej górze nader malowniczo rysujące się zwaliska zamku średniowiecznego, wzniesionego na podwalinach prastarej akropolis tamtejszej. Ze szczytu tej góry prześliczny otwiera się widok na dolinę i wzgórze ją otaczające, jako też część zatoki argolskiej.

Późnym wieczorem wróciłem do Nauplii,

gdzie kilka godzin jeszcze bardzo mile spędzi-
łem w towarzystwie pp. Z.

Nazajutrz wyjechałem do Aten, unosząc nie-
zatarte, lecz pełne grozy wrażenia z ruin mi-
keńskich.



WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
„ŚWIT”
KRAKÓW - UL. WIELOPOLE 32

N^o 01209